Rocznik I. Kraków, 15 lutego 1898. Nr. 4.

RUCH SPOŁECZNY

DWUTYGODNIK POLITYCZNY i NAUKOWY.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Jak zacząć?

Pisząc o naszych stosunkach, bardzo łatwo popaść w przesadny krytycyzm. Nieraz się słyszy i czyta zdania, z którychby wynikało, że u nas wszystko idzie źle i najgorzej, że pracę trzeba zacząć na nowo, że nie ma nic godnego utrzymania, że wszystko wymaga odrodzenia i przebudowania. U ludzi, którzy, mówiąc i pisząc tak ostro, nie czynią tego z zamiarem siania społecznego niezadowolenia, ten sposób przedstawiania rzeczy jest po największej części literacką wadą. Bardzo to trudno zachować miarę w pochwałach lub naganach, gdy się chce koniecznie przekonać drugiego. Pod pióro cisną się wtedy dosadne wyrażenia, odpowiadające chwilowemu nastrojowi autora, ale nie oddające prawdziwego stanu rzeczy. Czytelnik odbiera zawsze wrażenie czegoś większego od rzeczywistości. Być może, że i uwagi, które dalej podaję, popadną wbrew mej woli, w błąd wyżej wskazany. Stąd wydaje mi się koniecznem zastrzeżenie, że, gdyby się tak stało, to wina leży w piórze, a nie w nawyczce wietrzenia zawsze i wszędzie złej woli lub nieudolności ludzkiej.

Dość powszechnem jest już dzisiaj przekonanie, że pierwszemi zadaniami, które kraj powinien spełnić, są reforma agrarna i reforma administracyi krajowej. Drugą z tych potrzeb odczuwano już dawniej, pierwsza weszła na porządek dzienny niedawno, dzięki inicyatywie klubu konserwatywnego w Krakowie. Jeżeliby chodziło o określenie, w jakiem stadyum znajdują się obie te sprawy, to nie wiele słów potrzebaby do tego. »Czujemy, wierzymy, że te reformy są konieczne,« — oto prawie wszystko. W jakim kierunku mają pójść te reformy, od czego zacząć, co ważniejsze, co może być później załatwione, jaki plan reform należy przyjąć, jak reforma agrarna oddziała na przemysł, czy bez wzmożenia przemysłu jest ona możliwą, czy mamy ludzi do przeprowadzenia reformy administracyjnej, jak ich wyrobić itd., to wszystko pytania, na które nikt z nas nie umie i nie może odpowiedzieć. Po największej części pragniemy przeszczepić na swój grunt jakieś zagraniczne urządzenie, ale nie jesteśmy w stanie żadnego dać dowodu, że ono będzie właściwem i pomyślne wyda skutki. W myśl tego, co powiedziałem na wstępie, nie chce za ten smutny stan rzeczy nikogo pociągać do odpowiedzialności. Przeciwnie, po udowodnieniu, że braki te rzeczywiście istnieją, pragnę tylko wykazać ich naturalne przyczyny, a następnie wskazać środki zaradcze.

Że reforma administracyi krajowej nie wyszła poza wyżej określone stadyum, najlepszym dowodem jest to, że ostatni sejmowy wniosek w tej sprawie wzywał rząd do wypracowania projektu tej reformy i że dotąd mamy wszelkie prawo sądzić, iż rząd wezwanie to złożył do aktów. Jeżeli tedy nie zaliczymy do prac w tym kierunku pierwszego tomu dzieła Piotra Górskiego o samorządzie, jako zawierającego dotąd tylko część historyczną i krytyczną, to jedynym dowodem, żeśmy nie zaniedbali tego pola, pozostanie projekt reformy administracyjnej Juliana Dunajewskiego, wydany lat temu przeszło dwadzieścia [1]).

W sprawie reformy agrarnej oprócz broszury Adama Krzyżanowskiego [2]), obejmującej szkic projektu, nie wiele mamy do zanotowania. Wszystkie braki jednak w tym kierunku wykazała najdosadniej konferencya agrarna. Zamiast zbadać, w jaki sposób należy szukać i uzyskać materyał potrzebny do wniosków, obradowano nad wnioskami bez materyału. Nie odbiera to znaczenia tej konferencyi i nie pozbawia zasługi jej twórców, ale wykazuje zarazem, jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani w tym kierunku. Dowodem tego także i przedłożone na obecnej sesyi przez Wydział krajowy ustawy agrarne. Są one tylko tłómaczeniem ustaw niższoaustryackich, a i z tego dowodu naszego ubóstwa musimy się cieszyć, jako z posunięcia sprawy naprzód.

Jesteśmy przeto w tem położeniu, że czujemy, iż trzeba nam reformy, że się jej domagamy, a tylko nie wiemy, kto nam ją wypracuje. Rząd nie chce, ale gdyby nawet chciał, nie może jej wypracować. W Namiestnictwie galicyjskiem nie ma podobno ani jednego urzędnika, któryby mógł objąć referat ustawodawstwa agrarnego. Klasycznym przykładem stosunków w tym względzie jest okoliczność, że na konferencyi agrarnej nie było reprezentanta rządu. W Wydziale krajowym wedle dotychczasowego stanu rzeczy nie możemy również wykryć nikogo, ktoby był w stanie przeprowadzić to zadanie. Zupełnie taksamo ma się rzecz ze sprawą reformy administracyi. Ani w Namiestnictwie ani w Wydziale krajowym nie ma fachowo w tym kierunku wykształconych urzędników. Zdolności i doświadczenie nie pomogą, potrzeba metody badania i zupełnego opanowania przedmiotu, tej zaś powołane do tego sfery nie mają i, jak zobaczymy, mieć jej nie mogą.

Jeżeli ani Namiestnictwo ani Wydział krajowy nie

---

[1]) Projekt. Zarys organizacyi władz administracyjnych. — Kraków 1871.

[2]) Wydawnictwo Klubu konserwatywnego. Zeszyt III.

mają urzędników, którymby można powierzyć te zadania, to w najmniejszej mierze wina za to nie spada na samych urzędników. Przygnieceni pracą bieżącą nie są w stanie kształcić się specyalnie, samo wykonywanie obowiązków codziennych wyczerpuje w zupełności ich siły.

Na kimże więc spoczywa w tym stanie rzeczy inicyatywa i ciężar pracy społecznej? Stanowczo tylko na woluntaryuszach! U nas w kraju wyliczyć ich możemy na palcach. Należy szanować i nieraz podziwiać poświęcenie i pracę tych ludzi, ale nie można nie uczynić jej zarzutu niesystematyczności, dorywczości, przypadkowości. I nie może być inaczej. Każda amatorska praca ma tę cechę, że jest zależną od temperamentu raczej, niż od rozwagi. Powstające i gasnące u nas liczne stowarzyszenia, spółki etc., po części pogrzebane wcześniej, nim się narodziły, są tego najwymowniejszym dowodem. A mnożące się w Sejmie wnioski, te istne łaty, mające pokryć rozpadającą się szatę naszych urządzeń?! Czyż to nie wyborne świadectwo naszej bezprogramowej działalności politycznej?! Stan taki przedstawia i drugą jeszcze wadę. Ochotnikiem w pracy społecznej może być tylko człowiek zamożny, nie mający innych zadań i obowiązków. Że zaś takich ludzi potrzeba wszędzie, i do sejmu, i do Rady państwa, i do Rady powiatowej, i do ankiet, i do banków etc. etc., więc na barki jednego ciska się te wszystkie zajęcia. Honorat i onerat taki traci pieniądze i siły, ale nie jest w stanie doprowadzić do istotnie korzystnych rezultatów, bo mu brak fizycznych po prostu do tego warunków. Tak marnujemy ludzi! Wytwarza się wskutek tego wszystkiego jakaś dziwnie lekka i swobodna atmosfera. Rodzą się projekty niezmiernie szybko, przyjmują je ludzie z entuzyazmem..., to prawda, że ich potem nie ma kto wykonać, ale sam fakt, że się wierzy w te nagle, nierozważne, bez materyałów zbudowane projekty — jest dowodem rzadkiej gdzieindziej powierzchowności w sprawach publicznych. Widząc, że jeden bez pracy, bez studyów, bez doświadczenia jest ojcem narodu, pragnie i drugi odegrać tę samą rolę. Nie chcę w tem widzieć złych motywów, ale podnoszę tę dziwną, zagranicą już coraz rzadszą, naiwność, iż do rządzenia powołanym jest każdy, że do zrobienia buta potrzeba być fachowym, ale nie do wniesienia projektu ustawy.

Przyczyny, że nie mamy ludzi, którzyby byli w stanie wypracować projekty reform ekonomicznych i administracyjnych, należy szukać w dotychczasowych naszych stosunkach politycznych i ich konsekwencyach. Szło nam przedewszystkiem o nasze stanowisko w Austryi. Walka z centralizmem niemieckim, nasze zmienione pojęcia państwowe i, co za tem poszło, nasza praca dla p a ń s t w a, wypełniały w zupełności nasze polityczne życie, oddawaliśmy też mu naszych najznakomitszych mężów stanu bez należytej rekompenzaty. Jakąkolwiek będzie przyszłość polityczna Austryi i nasz udział w niej, to nie ulega wątpliwości, że dotychczasowe nasze cele społeczne muszą być rozszerzone. Dowodem jednostronności naszego życia politycznego i zarazem symptomem, że ono musi się zmienić, rozszerzyć i pogłębić, jest powstanie stronnictw ludowych. W chwili, gdyśmy święcili tryumfy w Wiedniu, szerzyła się nędza i niezaradność w kraju. Z elementarną siłą musiały się przedrzeć żądania reformy u dołu. Gdybyśmy byli przygotowani, nie byłoby tam miejsca dla agitatorów i wyzyskiwaczy. Dziś z ruchu ludowego tę tylko wysnuć możemy i musimy prawdę, że ten ruch jest zupełnie naturalnym objawem naszego życia społecznego, wywołanym naszymi niedostatkami. Gdybyśmy mieli gotowy projekt reform ekonomicznych i administracyjnych, moglibyśmy dążyć do uświadomienia tego ruchu, choćby przez stworzenie opozycyi, wiedzącej, czego chce, bo wiedzącej, co ma zwalczać! Tak, jak jest dzisiaj, musimy jeszcze przez pewien czas — bodaj nie długo — patrzeć na nieświadome swych celów prądy, na w ciemności krążące masy i rybaków, łowiących w mętnej wodzie.

Nie żądaliśmy z należytym naciskiem tych reform, nie stworzono też dla nich warunków. Dziś, pod ciężarem konieczności, nie lata, ale niemal miesiące, dzielące nas od ukończenia dzieła, musimy liczyć z niecierpliwością, — jakżeż ona będzie wielką, gdy nawet początku tego dzieła nie widzimy.

Pierwszą przeto etapą na drodze reform, na którą kraj musi wejść, jest wyrobienie ludzi zdolnych do wypracowania tych reform. Środek wyrobienia tych ludzi wypróbowano we władzach centralnych. Jednego lub więcej urzędników uwalnia się zupełnie na rok, dwa lub więcej od zajęć biurowych, dostarcza się im wszelkich potrzebnych materyałów i poleca studyowanie danej kwestyi. Po całkowitem jej opanowaniu urzędnik wyjeżdża zagranicę, jeżeli to uzna za stosowne, a w każdym razie pisze projekt ustawy, udziela go do opinii interesowanym sferom, korzysta z ich zapatrywań, czyni spostrzeżenia zagranicą w tym samym przedmiocie, zebrane tam doświadczenia stosuje do swego zadania i w ten sposób dochodzi do celu. Ustawodawcza praca należy do najtrudniejszych, podział pracy powinien tu być przeto jak najdalej posuniętym, a ułatwienia dla kierownika i właściwego autora jak najrozumniej przeprowadzone.

W ten sposób winny być u nas urządzone przedewszystkiem dwa biura: biuro reformy agrarnej i biuro reformy administracyi krajowej. Jedynie tak postępując, możemy się zbliżyć do celu, możemy spełnić zadania, które na nas wkłada ciężka obecna chwila, możemy się wyrwać z koła dobrych chęci i dyletantyzmu. Nie można dość głośno wołać: dajcie nam l u d z i f a c h o w y c h, l u d z i f a c h o w y c h i j e s z c z e r a z l u d z i f a c h o w y c h. Z braku tych ludzi marnieją najlepsze warunki, giną doskonałe myśli, nie rozwijają się świetnie poczęte przedsiębiorstwa. Brak ten — to zaraza niszcząca nasze porywy szlachetne i nasze ofiary.

Rozchodzi się jeszcze o rozstrzygnięcie kwestyi, kto ma te biura utrzymywać. Nie ulega wątpliwości, że jest to obowiązek rządu. Zanimbyśmy się jednak tego doczekali, szkoda przewyższyłaby niezliczoną ilość razy koszta urządzenia tych biur, gdyby one spadały na kraj. Nie procesując się więc w tym względzie, nie wzywając już więcej rządu do rzeczy, których spełnić nie ma ochoty i mocy — niech k r a j wyłoży tę stosunkowo niewielką kwotę, utworzy przy Wydziale krajowym oba biura, a plony stokroć nagrodzą poniesione ofiary i trudy. Tem właściwszem będzie złączenie tych biur z Wydziałem krajowym, że charakter ich będzie czysto doradczym, niemal naukowym, że przeto niema obawy zwiększenia biurokracyi w naszej autonomii.

Oto, od czego musimy zacząć!

W. L. Jaworski.

Czechy a Polska.

(Z wrażeń i myśli po zjeździe słowiańskim).

Stało się więc na przekor krzykliwym i utartym aż do banalności dowodzeniom pewnej a potężnej liczbą kategoryi naszych wrogów, dla których antysłowiańskość Polski jest dogmatem, niezbędną przesłanką do dalszych wniosków o konieczności zmiażdżenia wrogiego pierwiastku, wyjęcia i zdruzgotania »zatrutego ostrza, którem latynizm przeszył wnętrze słowiańszczyzny« [1]). W samem sercu ziem polskich odbył się zjazd słowiański, wprawdzie niespodziany prawie i nieprzygotowany, ale tem świetniejszy, bo tem dobitniej wykazał powszechność zrozumienia w naszem społeczeństwie potrzeby jedności Słowiańszczyzny zachodniej w walce z dzikiemi zachciankami tego silnego, niestety, odłamu świata germańskiego, który zapomniawszy o szczytnym ideale humanitarnym, przekazanym wielkiemu narodowi przez jego wielkich wodzów duchowych z połowy zeszłego stulecia, uczcił dziś siłę pięści, zawracając się pod wodzą Wolfów i Schönererów od światła chrześciańskiej cywilizacyi do pierwotnych mroków brutalnego barbarzyństwa.

Uczestnikami zjazdu byli niemal wyłącznie politycy, o polityce przeto mówiono najwięcej, o chwili obecnej, o wspólności interesów Słowian austryackich. Interes jest niezaprzeczenie ważną dźwignią polityczną, ale przyjaźń dwóch narodów oprze się na silniejszych jeszcze podstawach, skoro do interesu dołączy się sympatya, uczucie natury idealnej, płynące z głębin ducha narodowego. Zrozumiał to poseł Hofica i w pięknem przemówieniu, którem nas żegnał na dworcu kolei, wyraził życzenie, aby ta serdeczność wzajemna, która tak silnie zaznaczyła się dziś, rozwijała się nadal i ze sfery przelotnych uniesień przeszła w sam rdzeń slovanske povâhy (słowiańskiej natury). Dopiero wtedy będzie ona trwałą i bogatą w owoce.

Co robić, ażeby słowiański interes zespolić ze słowiańską »povahą?« Oczywiście, niema cudownego przepisu, któryby zdołał przedrzeć twardą skorupę poziomości ogółu. To jednak pewna, że im więcej u nas i u Czechów będzie ludzi, zdolnych rozumieć wielkie ideały, które w ciągu dziejów ożywiały przewodników obu narodów, i zdolnych iść w tym kierunku, tem silniej siłą tych ideałów zelektryzują oni umysły, tem głębszem stanie się przeświadczenie o jedności myśli przewodniej, przyświecającej Polsce i Czechom i tym wspanialszym płomieniem wybuchnie jedność słowiańska.

W pierwszej połowie wieku XVII. w epoce, kiedy Czechy padały po dwuwickowej walce z obcą przemocą, zajaśniał tam blaskiem potężnego ducha Jan Amos Komensky, największy może z gieniuszów, których pobratymczy nam naród wydał. Niosąc życie swoje i trudy w ofierze współziomkom, cierpiał męki wygnania, poniewierania i niedostatku, ale nie schylił się pod brzemieniem klęsk spadających na naród, ani się zamknął we własnych cierpieniach, lecz myślą orlą sięgnął i dalej i głębiej, objął nią ludzkość całą. Patrząc na powodzie krwi i przepaście nędzy, w których tonął współczesny mu świat, tem goręcej zatęsknił do królestwa Bożego na ziemi, do spokoju i równowagi społeczeństwa, na chrześciańskich podstawach opartego. Człowiek jest stworzony — rozumował — na obraz i podobieństwo Boże, zjednoczenie z Bogiem jest celem jego, Bóg zesłał nam Zbawiciela, jako wieczysty wzór tej jedności, powinniśmy przeto stawać się podobni do Chrystusa, a warunki życia urządzić tak, aby ułatwiały dopięcie wielkiego celu. Obdarzony nietylko żądzą ideału, ale umysłem rozległym, ścisłym i systematycznym, wziął się Komeniusz do pracy w tym kierunku, postanawiając rozpocząć rzecz *ab ovo*, od reformy wychowania. Żyjemy — powiedział — trojakiem życiem: roślinnem, zwierzęcem i duchowem. Z tych pierwsze doskonałem jest już w łonie matki, ostatnie — tylko w niebie. Szczęśliwy, kto przychodzi na świat ze zdrowem ciałem, ale o wiele szczęśliwszy ten, kto schodzi z niego ze zdrową duszą. Powinien przeto człowiek, zgodnie ze swem niebieskiem powołaniem, starać się wszystko poznać, nad wszystkiem i nad sobą zapanować i wszystko odnieść do Boga. Natura zasadziła w nim potrzebne do tego nasiona wiedzy, cnoty i pobożności, a wyhodowanie tych nasion niech będzie przedmiotem wychowania. Owocem tych myśli szczytnych była *Didactika Magna* i szereg dzieł pedagogicznych, które postawiły Komeniusza w zastępie największych reformatorów wychowania. Ale nie poprzestał on na tem. Nie dość jest stworzyć metodę wychowawczą, trzeba też wiedzę, którą się wpaja w umysły ludzkie, zapalić światłem prawdy chrześciańskiej, ażeby prowadziła do Boga. Zbudujmy więc naukę nauk, pansofię, będzie ona nakształt owej góry, o której mówi Micheasz prorok, stanie na niej świątynia Pańska, narody dążyć do niej będą i mądrość tam czerpać i prawdą chrześciańską się poić. Będzie owa pansofia encyklopedyą wiedzy, pochodnią dla ducha, kryteryum prawdy o rzeczach, wskazówką postępowania, wreszcie »drabiną od rzeczy widzialnych wiodącą do niewidzialnych, do majestatu Stwórcy«. Od Boga pochodzi duch ludzki i do Boga wraca, nieskończone są przeto jego siły w rzeczach Bożych i z ich pomocą stworzy on pansofię. Szeregiem przygotowawczych do tego badań była naukowa działalność Komeniusza. Nie dopiął on celu, mylnem okazało się jego bohatersko zuchwałe przypuszczenie o nieskończonych zakresach sił ludzkich, nie sprostały one olbrzymim zamiarom, ale też w dziejach myśli niewielu znajdzie się pracowników, do których tak wspaniale dałoby się zastosować Mickiewiczowskie mierz siły na zamiary, zamiar bowiem był jednym z największych, jakie się śniły ludziom, a zasób sił w tym celu nagromadzonych tak potężny, że same ułamki dzieła, które miało być ich owocem, przykuwają wzrok nasz, niby torsa starożytne, i świecą myśli, pojąc ją czcią dla geniusza i wiarą w potęgę ducha. Ze spokojnem sumieniem mógł umrzeć Komeniusz, dziękował Bogu, że go uczynił »mężem tęsknienia«, który przez labirynt świata szedł pewnym krokiem ku ciszy szczęścia, do raju serca pojednanego ze Stwórcą [1]).

Taką była sfera myśli, w których żył ostatni a naj-

[1]) Wyrażenie Jerzego Samaryna, jednego z pierwszych co do czasu słowianofilów rosyjskich.

[1]) Labirynt świata a raj serca — tak brzmi tytuł jednej z prac Komeniusza.

genialniejszy przedstawiciel najwspanialszej epoki w dziejach czeskich. Mogą więc te myśli, których istotę stanowiła zawsze żądza uchrześcianienia świata, być uważane za testament przeszłości, przekazany do wykonywania dzisiejszym jej potomkom. Wraz ze śmiercią Komeniusza zeszła też myśl czeska do grobu tak, że mogłoby się zdawać, iż wysilała się w ciągu wieków, aby wydać swój kwiat najpiękniejszy i po wysiłku tym zamrzeć z wyczerpania. Półtora wieku trwał ten sen do śmierci podobny. Dopiero od końca zeszłego stulecia poczęli zjawiać się zwiastuni nowej epoki w życiu budzącego się ze snu narodu, ale zrazu na myślach ich znać było ślady wycieńczenia i ospałości: nie byli zdolni do objęcia tych szerokich widnokręgów, po których bujały duchy ich wielkich poprzedników. Dobrowski, znakomity twórca filologii słowiańskiej, ogromem wiedzy i bystrością umysłu zaimponował Europie, nauczył ją temsamem cenić Czechy, a z drugiej strony przyczynił się tą sławą swoją do rozwoju w sercach współziomków uczucia godności i dumy narodowej, ale stało się to pomimo jego woli, był on raczej *ein slavisirender Deutsche*, jak go przezwano, niż Czechem, w przyszłość literacką narodu swojego nie wierzył; kochał Czechy, ale tak jak np. Mickiewicz Litwę czyli jako ziemię, w której się urodził i wychował, nie zaś jako ojczyznę ducha.

Skoro uwzględnimy ówczesne okoliczności, łatwo nam będzie wytłumaczyć i zrozumieć tę apatyę Dobrowskiego, ten brak wiary i zanik uczucia patryotycznego. Jednej tylko rzeczy nie zdoła nigdy mózg polski objąć, to dziwacznej formy, w której owo uczucie miało wkrótce się objawić: przewrotny pęd patryotyzmu, znajdującego swój wyraz w przywiązaniu nie do narodu, ale do rasy, pozostanie dla nas zawsze zagadką psychologiczną. Dałoby się to jeszcze pojąć, jako objaw zrozpaczenia, rozumującego, że jeśli ma naród zginąć, to niech tonie lepiej we wszechsłowiańskiem, ściślej mówiąc w rosyjskiem morzu, niż w niemieckiem. Ale Jungmann, następca Dobrowskiego, zrozpaczonym nie był; przeciwnie, odznaczał się energią i wiarą, porywał młodzieńczym zapałem, a jednak marzył o wszechsłowiańskim języku, poczytywał jako pierwszy swój obowiązek pisarski »iść na spotkanie« tego języka przyszłości, zlewając, o ile możności, mowę czeską z mową innych pobratymczych narodów. Nieodłączny zaś druh jego i wielbiciel X. Antoni Marek ze szczególnym naciskiem wypowiadał marzenia te, występując jako pierwszy poeta panslawizmu. Różnicy pomiędzy wyrazami Czech, a np. Rosyanin lub Serb, człowiek ten nie był w stanie zrozumieć, w ostatecznym zaś wyniku sprowadzało się to oczywiście do afirmowania tożsamości Rosyi a Czech. »Ciśnie nas — żalił się on w jednym z utworów — Teuton z jednej strony, a Turek z drugiej, rozpadły się państwa Duszanów i Swiętopełków, ale berło Ruryków pozostało n a m dotąd w ręku...« »Nie chce być — wołał ten niepoprawny marzyciel już znacznie później (*Slovan*, 1833) — tym kretem, który tylko swoją norę zna. Czuję, że należę do całej Słowiańszczyzny, a Słowiańszczyzna cała do mnie! To moja chluba, moja pycha! Nie pozwolę na to, aby mój naród zamknięto w ciasnym obrębie jakiegoś tysiąca mil kwadratowych. Mieszkam w szerszym świecie!...« Ale siły narodu nie były jeszcze zamarły, wyzwalał się on więc stopniowo z tej słowiańsko-rosyjskiej nirwany. Szafarzyk i Kollar, nie porzucając wytkniętych torów panslawizmu, cenili indywidualność narodową i dbali o jej zachowanie. Kollar zaś marzył o tego rodzaju wzajemności, aby każdy wykształcony Słowianin znał cztery główne języki: czeski, polski, rosyjski i serbsko-chorwacki. Były to marzenia, którym rzeczywistość zadawała kłam, ludziom tym, przygnębionym troskami walki o chleb powszedni narodowego bytu nie świtały szerokie, wspaniałe widnokręgi wodzów ducha czeskiego w minionych epokach.

Pewnego dnia w r. 1825 zeszli się u hr. Kaspra Sternberga, poważanego mecenasa nauki czeskiej, Dobrowski i młody naówczas historyk Palacki. Wspólnie poczęli ubolewać nad szczupłymi środkami świeżo założonego Muzeum Czeskiego i nad obojętnością społeczeństwa względem tej instytucyi narodowej. Jako środek zaradczy, podał Palacki myśl wydawania czasopisma Muzeum w języku ojczystym. Na to Sternberg i Dobrowski odparli, że nie czas już myśleć o wskrzeszeniu narodu i literatury. Zawrzała krew w młodym Palackim: »Jeśli wszyscy tak zapatrywać się będziemy — zawołał — to niechybnie zginie naród nasz z głodu ducha; co do mnie, gdybym nawet z rodu cygańskiego pochodził i gdybym ostatnim był jego potomkiem, jeszczebym za powinność swą poczytał pracować w miarę sił moich nad tem, aby została po nim jakaś pamięć w dziejach ludzkich!« Możemy powiedzieć, że tego dnia, kiedy Palacki te piękne słowa wygłosił, narodził się nanowo patryotyzm czeski, przejęty czuciem godności narodowej, śmiały, świetny, rwący się do szerokich widowni i do wielkich czynów. Ster nawy narodowej błąkającej się od śmierci Komeniusza po morzu klęsk i kołatanej przez burze uchwycił Palacki mocną dłonią i poprowadził w wytkniętym przez wielką przeszłość kierunku. Nie zamarzył więc ani o »berle Ruryków«, ani o Elyzeum słowiańskiem, w którem mają się połączyć w zgodnem uczuciu Kościuszko z Katarzyną, ale wniknął w głąb dziejów swego narodu, wykrył myśl im przewodniczącą i zapragnął nią natchnąć rodaków. Tą myślą jest wykonywanie prawa boskiego na ziemi czyli owa »b o ž n o s t«, którą kierował się Komeniusz we wszystkich pracach swoich, którą przekazał narodowi. Ten nawskróś religijny ideał usiłował Palacki skojarzyć z pozytywistycznym duchem filozofii wieku, twierdząc, że rozum i na rozumie oparta filozofia powinna wprowadzić ludzkość w sferę zgodnego z prawem boskiem ukształcenia stosunków społecznych. Ogromny widnokrąg otworzył on przed narodem. »Zabezpieczymy przyszłość naszą — pisał — gdy duchem zaczniemy przodować i zwyciężać w odwiecznej walce, którą nam wyznaczyła Opatrzność...« »Pierwszym przeto dla nas obowiązkiem starać się wznieść ducha własnego i ducha narodu, aby na polu czynów ducha przewyższył narody sąsiednie. W przeciwnym razie nie zdobędziemy należnego sobie miejsca wśród rzeszy narodów, nie zachowamy nawet odrębnego bytu swego...« Żyjemy w wieku pary i elektryczności; nadały one nową miarę stosunkom świata, zniknęły granice, zaostrzyły się warunki konkurencyi międzynarodowej, tem przeto silniej należy siły narodu natężyć: »Czas jest, aby się obudził naród czeski i zoryentował w warunkach epoki nowej, aby wzrokiem przekroczył ciasne granice ziemi własnej i nie przestając służyć ojczyźnie, stał się zarazem obywatelem świata...«

I tak dalej... Nie tu miejsce rozprawiać o pracy i poglądach wielkiego męża, którego wdzięczni ziomkowie przezwali ojcem narodu. Wrażenia z miłych, a dla przyszłości tak ważnych zapewne i skutecznych odwiedzin naszych pobratymców skierowały myśl moją ku przeszłości bliskiego nam narodu, z tej zaś krótkiej wędrówki wyniosłem przeświadczenie o ciągłości w rozwoju myśli czeskiej. Wprawdzie przepaść dwóch wieków rozciągnęła się między Komeniuszem a Palackim, ale

przy dotknięciu genialnego badacza i myśliciela powstała z popiołu wielka myśl przeszłości i świeci odtąd najlepszym przedstawicielom narodu. Od siły przejęcia się wykrytym przez Palackiego ideałem »bożności« zależy przyszłość czeska, przyszłość słowiańska, schodząc zaś do rzeczy najbliżej nas obchodzących, przyszłość polsko-czeskiej wzajemności. Im więcej bowiem będzie w Czechach ludzi myślących o sprawiedliwości, o wykonywaniu prawa boskiego na ziemi, tem lepiej będą przez nich zrozumiane nasze cierpienia i dążenia, tem ściślejsze węzły połączą nas z nimi.

Z radością na to patrzymy, że literatura idzie tym szlakiem. Przenika ją szlachetny uniwersalizm, a że to jej »obywatelstwo świata« od »bożności« pochodzi, tego dowodem jest Palacki, który łączył jedno z drugiem. Nie wspólności panslawistycznych rojeń, których nie znaliśmy, ale właśnie tej żądzy zdobycia obywatelstwa świata przez przyswojenie najpożywniejszych płodów ducha ludzkiego przypisujemy zajęcie, jakie poezya nasza budzi w Czechach. Najlepsi mistrze z Vrchlickim na czele tłumaczyli i tłumaczą najlepsze dzieła nasze, a rumieniec wstydu pokrywa nas, że nie odwzajemniliśmy się im dostatecznie, że zamało dotad znamy tych, co są ich chlubą. W dziedzinie polityki zdarzały się wahania, chwilowe rozgoryczenia dyktowały niekiedy słowa, które rzucały cień na wzajemność naszą, ale sprawiedliwość brała górę, znajdowali się ludzie, którzy, jak Jelinek, z pochodnią wielkiego czeskiego ideału narodowego w ręku umieli zstąpić w głębie naszego ducha, naszych nadziei i smutków. Więcej takich Jelinków, więcej Komeniuszowych »mężów tęsknienia« walczących o prawdę i sprawiedliwość na świecie, więcej rozumienia tej boleści, którą wieszczowie nasi unieśmiertelniali w postaciach Konradów i Irydionów, a sojusz nasz oprze się na gruncie twardszym, niż chwilowy interes i daremnie o tę skałę słowiańską rozbijać się będą fale bismarkowskiego germanizmu.

Maryan Zdziechowski.

WYCHODŹTWO.

(Sprawozdanie z czynności departamentu VI Wydziału krajowego za czas od 1 listopada 1896 po koniec października 1897 r., str. 26 do 28, wraz z allegatem VI, str. 37 do 73).

Wszyscy, którzy się zajmują sprawami publicznemi wiedzą dobrze, że od szeregu lat istnieje stosunkowo do liczby ludności i do niekorzystnych warunków ekonomicznych niezbyt znaczny prąd emigracyjny z Galicyi, który w r. 1895 wystąpił z gwałtownością, właściwą t. zw. »gorączkom emigracyjnym.« Objaw ten zwrócił uwagę Sejmu, który na posiedzeniu z 3 lutego 1896 powziął szereg uchwał w sprawie wychodźtwa. Najwięcej powodzenia doznało wezwanie do rządu o przydzielenie urzędników władających językiem ruskim i polskim do konsulatów w Genui i w Rio de Janeiro, oraz o utworzenie konsulatu w stolicy brazylijskiego stanu Parana, w Kuritybie. Ministerstwo spraw zagranicznych spełniło życzenia Sejmu, chodzi tylko o utrzymanie tych zdobyczy nadal.

Uchwały, zmierzające do obostrzenia nadzoru nad ajentami emigracyjnymi można uważać za częściowo załatwione przez nowelę karną z d. 21 stycznia 1897 zwróconą przeciwko oszukańczej działalności ajentów emigracyjnych, a której dojście do skutku zawdzięczać należy przeważnie staraniom posła Pinińskiego. Powtarzam, sprawę tę można uważać tylko za częściowo załatwioną, gdyż obowiązki władz publicznych nie kończą się na represyi, a nawet teoretycznie rzecz biorąc, represya czerpie swe uzasadnienie jedynie w odpowiednio zorganizowanej działalności prewencyjnej, co przetłumaczone na język powszedni i zastosowane do niniejszego wypadku ma znaczyć, że karanie szkodliwych ajentów, posługujących się w swej działalności środkami, sprzecznymi z ustawą karną, mojem zdaniem nie wystarcza, trzeba także starać się o dostarczenie ludności dobrych informacyi.

Zresztą uchwalenie ustawy i ogłoszenie jej w dzienniku praw państwa nie daje jeszcze dostatecznej gwarancyi jej skuteczności. Zachodzi pytanie, czy rzeczywiście wszystkie oszustwa ajentów emigracyjnych, podpadające pod nową ustawę, stały się przedmiotem dochodzenia karnego, a ze sprawozdania Wydziału krajowego nie dowiadujemy się niczego o zastosowaniu tej ustawy.

Dalsze uchwały sejmowe polecają Wydziałowi krajowemu »czuwać nad ruchem emigracyjnym w kraju, zbierać wiadomości o jego rozmiarach i kierunkach«, oraz »wezwać reprezentacye tych powiatów, gdzie wzmaga się ruch emigracyjny do Brazylii, ażeby wskazały środki zastosowane do miejscowych potrzeb i okoliczności, które mogłyby ruchowi temu skutecznie przeciwdziałać.« Ciekawe losy tych uchwał wymagają bliższego zastanowienia się.

W wykonaniu pierwszej z tych uchwał, Wydział krajowy ogłosił daty statystyczne tyczące się liczby wychodźców i cyfry »osób ukaranych za nieuprawnione pośredniczenie w sprawach wychodźtwa lub za oszustwa, popełnione na wychodźcach«. Sposób ogłoszenia tych dat uniemożliwiał zrobienie z nich użytku [1]); natomiast w tegorocznem sprawozdaniu pojawiła się lepiej zredagowana tabela, z której okazuje się, że z 20 powiatów wschodnich wyemigrowało w 9 pierwszych miesiącach 1897 r. tylko 3633 osób, a zatem, że wychodźtwo w porównaniu z r. 1895 znacznie się zmniejszyło. Daty te oparte są na informacyach c. k. Namiestnictwa, prawdopodobnie zatem są one identyczne z liczbą wydanych paszportów emigracyjnych, a w takim razie liczba: 3633 byłaby znacznie niższą od rzeczywistości. Ważnego tego punktu sprawozdanie Wydziału krajowego nie wyjaśnia. Liczba osób ukarana za oszustwa popełnione na wychodźcach tym razem nie mieści się w sprawozdaniu. Zdaje mi się, że Wydział krajowy byłby najlepiej zrobił, gdyby w tej sprawie działał w porozumieniu z jednym ze swoich biur statystycznych.

Uchwała o środkach zaradczych nie przyniosła, jak

[1]) Por. Adam Krzyżanowki: »Projekt reformy agrarnej« str. 27 i następne.

dotąd żadnego pozytywnego skutku. Wydział krajowy zasięgnął wprawdzie opinii 27 Rad powiatowych we wschodniej części kraju, a nawet ogłosił drukiem streszczenie ich w zeszłorocznych allegatach sejmowych, ale ogłoszenie to było równoznacznem z rzuceniem do kosza. Wydział krajowy poszedł nadto o krok dalej i wysłał do Brazylii na koszt kraju pp. prof. Dra Józefa Siemiradzkiego i ks. Jana Wolańskiego, a zarazem oświadczył, że dopiero po otrzymaniu ich sprawozdania »będzie można doradzać Wys. Sejmowi, a względnie c. k. Rządowi, jakie ma zająć stanowisko wobec ludności, chcącej emigrować«. Obecnie Wydział krajowy przedkłada Sejmowi sprawozdanie swych delegatów, nie wyciągając z niego żadnych wniosków i nie uzasadniając swego niespodziewanego milczenia.

Stanowisko Wydziału krajowego można sobie różnie tłumaczyć, prawdopodobnie należy tu uwzględnić dwa główne sposoby widzenia; można uważać obecnie kwestyę emigracyi do Brazylii za bezprzedmiotową wobec znacznego zmniejszenia się liczby wychodźców, a przedewszystkiem wobec niemal zupełnego braku emigrantów, obierających za cel podróży Brazylię, albo też można sobie pomyśleć, że wychodźtwo nie jest nieszczęściem dla kraju, że zatem szukanie środków zaradczych staje się zbytecznem; hypoteza ta nabiera prawdopodobieństwa zwłaszcza, jeżeli się uwzględni zapatrywania prof. Siemiradzkiego, który na początku swego sprawozdania wyraźnie polemizuje ze zwolennikami poglądów nieprzychylnych wychodźtwu, a polemika ta wpłynęła prawdopodobnie na zapatrywanie Wydziału krajowego.

Charakterystycznem znamieniem naszego kraju jest t. zw. przeludnienie zawodowe, a mianowicie rolnicze, szybkie zatrudnienie znacznej części ludności w handlu i przemyśle nie da się tak łatwo przeprowadzić, wychodźtwo nie jest więc zatem objawem przemijającym, nieuzasadnionym w ekonomicznych stosunkach kraju, a wobec tego sztuczne stawianie tam emigracyi może przynieść tylko szkodliwe wyniki. Jeżeli zaś pod środkami zaradczymi rozumieć będziemy tylko usiłowania władz publicznych, zmierzające do zapewnienia zarobku możliwie największej ilości poddanych, wówczas właściwie dyskusya nad potrzebą tych środków zaradczych staje się zbędną, gdyż mieszczą się one w zadaniach, wskazanych państwu przez inne działy polityki ekonomicznej.

Ze stwierdzenia faktu, że nie jest zadaniem naszych władz publicznych sztucznie powstrzymywać wychodźtwa, nie wynika jednak bezpośrednio usprawiedliwienie i uzasadnienie stanowiska obojętnego widza, zajętego przez Wydział krajowy. Przeciwnie, zachodzi dalsze pytanie, czy, jeźli przeludnienie zawodowe pociąga za sobą konieczność istnienia wychodźtwa, czy przypadkiem przeludnienie to nie doszło już do granic, wymagających poparcia emigracyi ze strony władz publicznych. Przeszłość dostarcza nam niejednego w tym względzie przykładu. W państwach południowo-niemieckich rząd przymusowo przesiedlił około połowy bieżącego wieku mieszkańców kilku gmin do Stanów Zjednoczonych, ponieważ rozdrobnienie ziemi doszło do bardzo znacznych rozmiarów, a nie było, zdaniem rządu, widoków wytworzenia zarobku ubocznego dla tamtejszej ludności lub zatrudnienia jej w przemyśle fabrycznym. Nie przesądzając kwestyi, czy środek ten niebyłby polecenia godnym w pewnych wyjątkowych warunkach, przyznać przecie trzeba, że szersze jego zastosowanie przedstawia znaczne trudności, a użyteczność jego jest bądź cobądź problematycznej natury.

Ale pomiędzy temi dwoma ostatecznościami są jeszcze liczne drogi pośrednie, wśród których można odróżnić dwie główne grupy. Wzrost wychodźtwa natchnął przed kilku laty grono ludzi, skupiających się około założonego przez siebie »Przeglądu emigracyjnego« do postawienia i wywieszenia sztandaru polityki kolonialnej. Rozumowano w ten sposób: Inne kraje, w których rokrocznie znaczna część ludności opuszcza ziemię ojczystą, troszczą się żywo o los swych dawnych poddanych, zakładają dla nich kolonie celem rozszerzenia swego wpływu politycznego i pozyskania odpływu dla wytworów przemysłowych, niezużytych na miejscu — czegóż więc i my nie mielibyśmy postąpić podobnie, a na dowód starano się wyrachować niezbyt pewnemi cyframi statystycznemi, że kilkadziesiąt tysięcy Polaków opuszcza rokrocznie dzielnice dawnej Polski.

Rok zeszły przyniósł Niemcom dawno upragnioną ustawę o wychodźtwie, która wywołała w fachowych kołach ostrą krytykę, zwróconą przedewszystkiem przeciwko zawartym w niej tendencyom kolonialnym. Starano się wykazać bardzo poważnymi argumentami, że położenie geograficzne Niemiec, ich przeszłość historyczna i obecnie interesa państwowe wykluczają tak możność, jak potrzebę prowadzenia kosztownej, a niepewnej w wynikach polityki kolonialnej. Dziwnym zbiegiem okoliczności urząd kanclerski w Berlinie, układając projekt nowej, wreszcie uchwalonej ustawy, miał na myśli głównie kolonizacyę południowych stanów Brazylii, które były również terenem projektów kolonizacyjnych »Przeglądu emigracyjnego«.

Przeszło połowa ziemi uprawnej stanu Parana znajduje się podobno w ręku polskiem, jeden z okręgów tego stanu nosi urzędową nazwę »Nowej Polonii«; rozumiemy więc szczytne marzenia, szlachetne cele redakcyi »Przeglądu emigracyjnego«, ale jeźli nawet w potężnem państwie niemieckiem odzywają się głosy przeciwne polityce kolonialnej, to przecież przyznać sobie musimy, że jest niepodobieństwem wymagać czegoś podobnego w naszych stosunkach. Powołanie się na przykład zagranicy nie wystarcza wobec reszty odmiennych warunków i wobec mnogich zadań, które jeszcze w kraju czekają rozwiązania. Natomiast usiłowania osób prywatnych oraz stowarzyszeń, starających się o nawiązanie stosunków handlowych z osadami polskiemi w Brazylii zasługują na szczere poparcie n. p. w drodze subwencyi krajowej dla lwowskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego, które się żywo tą kwestyą zajmuje.

Niemcy wprawdzie dopiero w ostatnich czasach stały się mocarstwem kolonialnym, uprawiającem politykę kolonialną, ale politykę emigracyjną prowadziły od dawna. Zaczęło się w w. XVIII od zakazów, od szykan fiskalnych, skierowanych przeciwko majątkowi wychodźców, a saski Codex Augusteus (1724) grozi nawet karą śmierci ajentom emigracyjnym. Później jednak zwyciężyły inne poglądy, a silny wzrost wychodźtwa w w. XIX szedł ręka w rękę ze staraniami władz państwowych, zmierzających do ochrony emigrującej ludności przed wyzyskiem i oszustwami ajentów i do zapewnienia im stosunkowo wygodnego przewozu przez nadzorowanie przedsiębiorstw przewozowych. Tak n. p. bawarskie rozporządzenie królewskie z 7 czerwca 1862 r., obowiązujące dotychczas z nieznacznemi zmianami, opiera się na systemie koncesyi i kaucyi, wymaganej od ajentów. Inne państwa zachodnio-europejskie, a mianowicie Belgia, Anglia i Szwajcarya poszły dalej i wprowadziły rządowe biura wywiadowcze, wypierając powoli ajencye prywatne, które, po-

nieważ są prywatne, mieszczą w sobie zazwyczaj niezdrowy element spekulacyjny.

Zdaje mi się, że Galicya wobec prawdopodobnego wzrostu wychodźtwa będzie musiała chwycić się polityki emigracyjnej tego rodzaju, ponieważ zaś uważam za obowiązek władz publicznych, aby roztoczyły opiekę nad wychodźcami, przeto sądzę, że Sejm przyjmując do wiadomości sprawozdanie z czynności departamentu VI, powinien uchwalić ogólnikową rezolucyą wzywającą Wydział krajowy, by w porozumieniu z c. k. Rządem zbadał, co możnaby uczynić celem dostarczenia ludności chcącej emigrować odpowiednich informacyj i celem jej ochrony przed wyzyskiem w czasie podróży.

Przy tej sposobności może nie od rzeczy będzie wspomnieć w kilku słowach o »sprawozdaniu urzędowem delegatów Wydziału krajowego z podróży do Brazylii.« Przedewszystkiem odniosłem wrażenie, że »sprawozdanie delegatów« jest właściwie tylko »sprawozdaniem delegata«, gdyż pierwsze słowa, od którego się zaczyna, brzmią: »Nie jest moim celem . . . . .« — a o celach drugiego delegata nie znajdujemy w dalszym ciągu ani jednego słowa. W związku z tą okolicznością jest prawdopodobnie brak podpisów na końcu »sprawozdania«. Na podstawie poprzednich prac prof. Siemiradzkiego śmiem przypuszczać, że rozprawa ta jest wyłącznie jego pracą. Następnie »przeczy się, jakoby« praca prof. Siemiradzkiego była »sprawozdaniem urzędowem«. Nie wiem jakie, wyjeżdżając otrzymał instrukcye prof. Siemiradzki, podejrzywam, że żadnych, ale faktem jest, że Wydział krajowy w zeszłorocznem sprawozdaniu jako cel podróży prof. S. wymienia zebranie materyałów, posłużyć mających do określenia stanowiska władz publicznych wobec wychodźtwa. Sprawozdanie zatem powinno być wyrazem poglądów jego autora na to stanowisko. Prof. S. jednak, jak sam powiada, napisał »rzetelny poradnik dla kandydatów do wychodźtwa i ostrzeżenie przed zbyt wygórowanemi nadziejami na szczęście zamorskie.« Nareszcie mam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście autor dopiął swego zamiaru. Jakieś krótkie »popularne rady dla wychodźców brazylijskich« uważam za bardzo potrzebne i sądzę, że Wydział krajowy zainaugurowałby dobrze politykę emigracyjną w ramach, co dopiero nakreślonych, gdyby skłonił prof. S. lub inną ukwalifikowaną osobistość do napisania popularnej broszurki tego rodzaju i wydał ją swym nakładem, sądzę jednak, że poradnik prof. S. jest trochę za długi i za mało popularny dla olbrzymiej większości tych, którzy emigrują do Brazylii.

Praca prof. S. jest poprostu interesującą, z wielką znajomością rzeczy napisaną rozprawą o wychodźtwie galicyjskiem, a można nawet powiedzieć polskiem do Brazylii. Jest tam i krótka historya wychodźtwa, zarysy statystyki, polityki emigracyjnej, a raczej imigracyjnej państwa brazylijskiego i jego poszczególnych Stanów, jest zajmujący opis prowincyi, w których Polacy przeważnie się osiedlają, obraz polskich osad i t. d. Słowem nikt zajmujący się sprawą wychodźtwa nie powinien pominąć tej najnowszej książki, zasłużonego geografa i badacza losów naszej emigracyi.

W r. 1868 twierdził jeden z najpoważniejszych posłów sejmowych, że wychodźtwo jest sprzeczne z odrębną naturą polskiego chłopa, zmiana stosunków ekonomicznych nie skłoni go w przeciwstawieniu do jego zachodnio-europejskich sąsiadów, do opuszczenia zagonu ojczystego. Mimo tego ruch emigracyjny się rozwinął, a Sejm zauważył go dopiero wtedy, gdy wywędrowało w r. 1895 kilkadziesiąt tysięcy ludzi i gdy gazety narobiły hałasu. W enuncyacyach Sejmu i Wydziału krajowego całą winę zwalono na ajentów emigracyjnych, nie zwracając uwagi na głębsze społeczne i ekonomiczne przyczyny tego ruchu; ich karanie i szukanie środków zaradczych są główną nutą. Działalność prewencyjna ograniczyła się do wywarcia nacisku na rząd w sprawie konsulatów. Obecnie, gdy wychodźtwo wróciło do normalnych rozmiarów, Wydział krajowy obiera drogę milczenia, można bronić zasady nieinterwencyi władz publicznych w tym kierunku, ale trzeba umieć zdać sobie z tego sprawę. *Adam Krzyżanowski.*

Sprawozdanie c. k Rady szkolnej krajowej o stanie szkół średnich galicyjskich w roku szkolnym 1896 7.

Jak corocznie na sesyę sejmu, tak i tego roku pospieszyła Rada Szkolna z przedłożeniem sprawozdania o czynnościach swoich, podjętych w roku ostatnim. Zewnętrznie sprawozdanie to nie różni się od innych z lat poprzednich prawie niczem; te same rubryki tak w części ogólnej, jak i w statystycznych dodatkach, tylko że na końcu mamy dodany »Wykaz uczniów szkół średnich według miejsca zamieszkania ich rodziców i opiekunów«. Skoro jednak wejrzymy w treść samą, spostrzeżemy niejeden szczegół nowy i w wysokim stopniu interesujący, bo rzuca zwykle nowy promień światła na dosyć skomplikowane stosunki szkolne.

Przypatrzmy się najpierw kolejno szczegółom treści, zestawiając je z danymi z ostatnich lat 10, przyczem pozwolimy sobie poczynić kilka uwag nad stanem naszych szkół średnich w ogólności.

Liczba uczniów, przyjętych na początku roku szkolnego 1897/8 do gimnazyów, wynosi 15.543, do szkół realnych 2.095. W stosunku do roku ubiegłego przybytek wynosi w gimnazyach 784 uczniów, w szkołach realnych 347, w stosunku zaś do r. 1888 w gimnazyach 3700, w szkołach realnych zaś 1235. Jeżeli się zważy, że właśnie w roku 1887 podwyższono znacznie opłatę szkolną, a od r. 1897 mundurki są obowiązkowe, mimowolnie przypomina się okrzyk b. ministra oświaty, wydany podczas podróży po Galicyi w krótkiej a znaczącej formie: »merkwürdig!« Tak jest! — rzecz to dziwna, ale niemniej prawdziwa, że przyrost ciągły uczniów w szkołach średnich jest od lat 11 stałym objawem, który w ostatnich latach czterech nagle potężnieje. W społeczeństwie bogatem, żyjącem w stosunkach normalnych, objaw taki świadczyłby tylko o podnoszeniu się poziomu cywilizacyi i nie tylko nie wywołałby skarg, ale z góry przewidziany, zapewniłby normalny rozwój

szkolnictwu. U nas — inaczej. Nie wdajemy się w rozbiór niedawno podniesionego okrzyku o »hyperprodukcyi intelligencyi«, ale zaznaczyć musimy, że chroniczną u nas chorobą jest »hypoprodukcya« *(sit venia verbo)* zakładów szkolnych, a w stosunku do nich hyperprodukcya klas równorzędnych (t. zw. parallelek), dalej hypoprodukcya nauczycieli, a w stosunku do nich hyperprodukcya suplentów! Bo oto zestawmy z tym ciągłym przyrostem młodzieży przyrost szkół średnich, a spostrzeżemy anomalię nie do uwierzenia. W roku 1894/5 przybyło w szkołach średnich 572 uczniów, w roku 1895/6, 879 uczniów, w r. 1896/7, 989 uczniów, a w r. 1897/8 1131, zatem w ciągu ostatnich lat czterech 3571 uczniów. Normalna szkoła średnia 8 klasowa nie powinna mieć ponad 40 uczniów[1]; z tego wynika, że przybytek młodzieży w ostatnich czterech latach powinien pociągnąć za sobą przybytek przynajmniej 90 zakładów średnich. Cóż tymczasem widzimy? Oto na podstawie uchwały sejmu w r. 1890, aby rząd tworzył nowe gimnazya, zwłaszcza w miastach większych, jak Lwów i Kraków — utworzono we Lwowie z monstrualnego gimnazyum im. Franc. Józefa (21 klas i 1024 uczniów!) gimnazyum V, a na Podgórzu pod Krakowem, stopniowo po jednej klasie, jeszcze dotąd niezupełne gimnazyum. Wprawdzie równocześnie powstało z paralelek gimnazyum ruskie w Przemyślu i ruskie paralelki w Kołomyi, ale pierwsze nie w tym czasie uchwalone, drugie dotąd nie są osobnym zakładem. Tylko w zakresie szkół realnych można zanotować pewien postęp, bo oto właśnie w ostatnich latach istniejącą niższą szkołę realną w Tarnopolu uzupełniono, a w roku 1897/8 otwarto I klasę szkoły realnej w Tarnowie.

Czemże to jest jednak w stosunku do potrzeby i w stosunku do innych prowincyi?

W r. 1890/1 było uczniów w gimnazyach 12.642; w szkołach realnych zaś 1069 — co wymagało przynajmniej 32 gimnazyów a 3 szkoły realne; ponieważ zaś było tylko 25 gimnazyów całych i dwa niższe (oba prywatne), przeto w owym już czasie była liczba dzisiejsza (30 gimnazyów) za mała, a odtąd przybyło w tych latach ośmiu przeszło 4000 młodzieży, mogącej zapełnić 10 gimnazyów! Tak to dawne zaniedbanie jest teraz kulą u nogi administracyi szkolnej i dopóki się sprawiedliwości nie uczyni zadość krokiem energicznym, wszystkie paliatywne środki, a co gorsza rozkazy i zakazy żadnego nie odniosą skutku.

A mamy prawo domagać się sprawiedliwości, jeżeli się porównamy choćby z Czechami, bo niemieckie prowincye monarchii pozostaną w tym względzie dla nas niedoścignionym ideałem. Otóż Czechy na 51.942 klm.[2] i 6 milionów mieszkańców mają obecnie 15.237 uczniów w 56 gimnazyach, z których 49 jest państwowych, a 8.158 uczniów w 21 szkołach realnych, wszystkich państwowych; Galicya na 78.508 klm. i 7 milionów mieszkańców ma 15.543 uczniów w 28 gimnazyach (połowa tego co w Czechach!!) zupełnych i jednem gimnazyum niższem, nadto w 1 gimnazyum prywatnem OO. Jezuitów; a 2095 uczniów w czterech niezupełnych szkołach realnych. To też nic dziwnego, że w Czechach średnio na jedno gimnazyum przypada około 270 uczniów — u nas około 530; że w Czechach jedno gimnazyum w Przybramie ma liczbę uczniów wyższą od 600, a pospolicie liczba ta mieści się między 200 a 300, u nas jest 9 gimnazyów, mających frekwencyę ponad 600, jedno nawet blizko 900 (św. Anny w Krakowie) a między 200 a 300 tylko niezupełne gimnazyum w Podgórzu i niższe gimnazyum w Buczaczu!

Niech te liczby mówią za siebie...

Rzecz niewątpliwa, że one przemawiają wyraźnie i do administracyi szkolnej. Jakiejże na zapobieżenie tej anomalii szuka ona rady?

»Rada Szkolna krajowa pragnąc temu zapobiedz, a przewidując podniesienie się frekwencyi na rok bieżący, przedłożyła Panu Ministrowi wniosek, *o dozwolenie utworzenia znacznie większej liczby klas równorzędnych*... nie mogła jednak korzystać z tego upoważnienia w obszerniejszych granicach, gdyż w wielu zakładach okazał się brak odpowiednio urządzonych ubikacyi, a co najgłówniejsza, liczba zgłaszających się do służby kandydatów zawodu nauczycielskiego stanowczo nie starczyła, aby tam wszędzie tworzyć oddziały równorzędne, gdzie rzeczywista tego zachodziła potrzeba[1]«.

»Klasy równorzędne« — instytucya tak niewinna, a jednak tak w następstwa szkodliwa. Było to w R. P. 1857, a więc przed 40 laty, w ośm lat po wprowadzeniu nowej organizacyi gimnazyów, kiedy przy jakiejś sposobności powstała kwestya, ilu uczniów można do gimnazyum przyjąć. W odpowiedzi na to pytanie wystosowało ministeryum rozporządzenie z datą 11 marca do l. 4395, w którem po przypomnieniu celu nauki gimnazyalnej postanowiło: 1) aby maximum uczniów w klasie wynosiło 50; 2) gdzieby liczba była wyższa, należy podzielić klasę na dwa równorzędne oddziały i powierzyć w nich naukę nauczycielom rzeczywistym, za stosowną remuneracyą, a jeśliby tego uczynić nie było można, przyjąć zastępców nauczycieli. Już samo postanowienie, aby naukę w klasach równorzędnych powierzać nauczycielom rzeczywistym, świadczy o myśli rozporządzenia, które przewidywało podobną potrzebę w rzadkich wypadkach i co najwyżej 2 klasy równorzędne, bo przecież więcej nauczyciele rzeczywiści nie mogliby objąć. Suplentów uważało rozporządzenie również za »Abhilfe im Falle der Nothwendigkeit« ale »sollte es sich aus *mehrjährigen* Erfahrungen herausstellen, dass die Frequenz anhaltend eine solche ist, welche die Theilung einer oder *zweier* (nb!!) Klassen zur bleibenden Nothwendigkeit macht, so würde... es allerdings angezeigt sein, eine entsprechende Vermehrung der systemisirten Lehrstellen eintreten zu lassen. Das k. k. Ministerium ist nicht abgeneigt, dieser Frage die thunlichste Berücksichtigung zu schenken, und ermächtigt die k. k. Landesstellen nach reiflicher Abwägung der betreffenden Verhältnisse und Bedingungen seinerzeit, nämlich, wenn in entscheidener Weise sich das Bedürfniss der bezeichneten Abhilfe ausweisen lasst, motivierte Anträge um dasselbe zu erstatten«.

Przytoczyliśmy dla tego dłuższy ustęp z tego rozporządzenia, bo do niego jeszcze później powrócić musimy; stwierdza on w całej pełni, że instytucya klas równorzędnych była jako »Abhilfe« pojęta i to »im Falle der Nothwendigkeit« równie jak instytucya suplentów; tymczasem stała się formą uprawnioną i przybrała tak potworne kształty, że się poza nią czegoś innego i właściwszego nie widzi. W sprawozdaniach Rady Szkolnej z ostatnich lat ośmiu nie spotykamy nigdzie słowa, o potrzebie założenia nowej szkoły średniej, jak gdyby taka z jej strony inicyatywa była grzechem śmiertelnym w obec władz centralnych; czytamy tylko ciągle o otwie-

[1]) Bywają niemieckie gimnazya państwowe w Austryi i Czechach, liczące po 180—200 uczniów.

[1]) Sprawozd. c. k. R. Szk. kr. za r. 1891/2 str. 7.

raniu klas równorzędnych, a jeżeli się zdarzy, że po kilkakrotnych uchwałach Sejmu tu lub owdzie powstanie klasa I nowego zakładu, podnosi się to z takim naciskiem jako spełnienie życzeń Sejmu, jak gdyby od takiego faktu należało liczyć — nowej ery początek. Tem dziwniejsze się to wydać musi, że Rada Szkolna w ostatnich dwóch sprawozdaniach jasno pojmuje niekorzyść takiego stanu rzeczy zarówno pod względem pedagogicznym, jak i administracyjnym, a skoro tylko jako nieuchronna konieczność przesunęło się przed jej oczyma otwarcie nowych szkół średnich, natychmiast zaciemniają je »różne względy, stające na przeszkodzie«, jak »brak należytego umieszczania i brak dostatecznej liczby egzaminowanych sił nauczycielskich.« A wszak dla klas równorzędnych potrzeba również »należytego umieszczenia« i również »sił nauczycielskich « podług pierwotnej myśli ustawodawcy nietylko egzaminowanych, ale stałych. Szczersze było wyznanie Rady Szkolnej w Sprawozdaniu za r. 1895/6 (str. 4), gdzie za przeszkodę tworzenia szkół średnich podane są »koszta nowego budynku, zbiorów naukowych i t. p.« a na drugiem miejscu dopiero brak sił nauczycielskich egzaminowanych. Wiemy tedy, czemu mamy zawdzięczać to niechętne obwieszczenie nowych zakładów: oto dawny duch oszczędności źle zrozumianych, odbijających się na zdrowiu uczniów i nauczycieli, przeniknął tak do głębi naszą administracyę szkolną, że nawet w »nowej erze« nie zdołano go wyegzorcyzmować, a widząc jasno krzywdy, nie nazywa się ich po imieniu.

Nawet umieszczanie klas równorzędnych w osobnych lokalnościach i poddawanie ich pod kierownictwo jednego ze starszych nauczycieli nie może zastąpić właściwego środka i nietylko nie »zaradza wzrostowi frekwencyi«, ale co więcej, w żaden sposób nie czyni »zadość rezolucyi Sejmu, wzywającej c. k. Rząd względnie Radę Szkolną krajową do utworzenia nowych szkół realnych, oraz nowych gimnazyów w miastach, mających największą frekwencyę«.

Jeszcze jedna uwaga.

W Sprawozdaniu, o którem mówimy, zaznacza Rada Szkolna założenie nowej szkoły realnej z początkiem roku szkolnego 1897/8 w Tarnowie, zapowiada otwarcie z przyszłym rokiem szkolnym takiejże szkoły w Jarosławiu; »co się zaś tyczy utworzenia trzeciej nowej szkoły realnej Rada Szkolna krajowa podjęła już w tym względzie potrzebne wstępne badania«. Cieszyć się wypada, że powstają nowe szkoły realne, bo jakeśmy widzieli w stosunku do obecnej frekwencyi, trzebaby jeszcze najmniej 3 szkół zupełnych; — ale co jest powodem, że w obec ogólnego wstrętu do zakładania nowych szkół średnich, szkoły realne przecież taką cieszą się opieką? Czy rozwój przemysłu, komunikacyi, fabryk wykazuje anormalne zapotrzebowanie techników? Wszak niedawne to czasy, kiedy ukończeni technicy z egzaminami rządowymi pełnili funkcye dyetaryuszów w sądzie lub konduktorów tramwaju! Nie — inne są administracyi szkolnej pobudki. »Dąży ona przedewszystkiem do tworzenia takich szkół, któreby mogły część młodzieży *odprowadzić z gimnazyów* na drogę krótszego a stosowniejszego przygotowania do zawodów praktycznych, a więc szkół wydziałowych, szkół przemysłowych i handlowych i szkół realnych. Tych ostatnich jest z pewnością za mało a pocieszający wzrost frekwencyi stanowi dowód, że poczucie ich potrzeby zwiększa się nieustannie. Pomnożenie tych wszystkich szkół uważa też Rada Szkolna obecnie za rzecz najważniejszą dla siebie, a najpożyteczniejszą dla kraju i dla jego dobrze zrozumianego interesu [1])«.

Frekwencya w gimnazyach od lat najmniej 10, wzrasta niepomiernie, kraj i sejm wołają o pomnożenie gimnazyów — niektórzy radziby je częściowo zreformować — a Rada Szkolna na to wszystko odpowiada, że dla pożytku kraju i dla jego dobrze zrozumianego interesu (kraj sam źle swój interes rozumie!) obecnie uważa dla siebie za rzecz najważniejszą — zakładanie szkół realnych... Czy to nie zakrawa na ironię? Dlaczego »odprowadzać z gimnazyów młodzież«, jeżeli ona w nich chce szukać wykształcenia? Czy dla tego, aby nie były przepełnione i nie czyniły kłopotu administracyi szkolnej? czy może dla tego, że gimnazyum Rada szkolna uważa za uprzywilejowany zakład, do którego tylko posiadający środki utrzymania, talent i należytą opiekę domową, wstęp mieć powinni? [2])

Za dalekoby nas to zawiodło, gdybyśmy się chcieli wdawać w polemikę z taką polityką szkolną naszej najwyższej władzy krajowej; zaznaczamy to tylko z ubolewaniem i dodatkiem »daremna praca, marny trud, świat pójdzie swoją drogą!«

W staraniu o stosowne a z hygienicznymi warunkami zgodne umieszczenie szkół średnich jest Rada szkolna szczęśliwsza. W ostatnich latach uczyniono na tem polu wiele, nawet bardzo wiele, jeżeli się zważy, na jakie trudności napotykać musi każdy projekt połączony z obciążeniem budżetu ministerstwa. W r. 1890 otrzymało stosowny budynek gimnazyum IV we Lwowie, w r. 1892 jasielskie i samborskie; r. 1895 oba przemyskie i kolomyjskie; r. 1896 nowosądeckie, drohobyckie i szkoła realna krakowska, w r. 1897 gimnazyum III w Krakowie, w r. b. otrzyma je gimnazyum św. Anny w Krakowie — razem w niespełna 10 latach 10 budynków, co na nasze stosunki jest rzeczą niezwykłą. W sprawozdaniu ostatniem podaje Rada Szkolna szczegółową ocenę każdego budynku szkół średnich, notuje skrupulatnie braki, zapowiada sposoby ich usunięcia, z tą dokładnością, która cechuje rzetelną troskliwość o hygieniczne warunki budynku. Ubolewać należy szczerze, że jak najgorsze umieszczenie niektórych szkół średnich we Lwowie i Krakowie nie da się zmienić rychło wskutek trudności miejscowych i że młodzież wielkich miast przy innych mniej korzystnych dla zdrowia warunkach jeszcze i w budynku szkolnym zdrowie swe podkopywać musi.

A skoro o zdrowiu i hygienie mowa, dotkniemy tu fizycznego rozwoju młodzieży, który Rada szkolna staranną otacza opieką. W latach ostatnich dziesięciu zmieniło się na tem polu wiele na korzyść, że przypomnimy tylko wprowadzenie zabaw na wolnem powietrzu, wycieczki, ślizgawkę wspólną (naturalnie gdzie warunki lokalne na to pozwalają), a w ostatnim czasie dążność do zaprowadzenia obowiązkowej nauki gimnastyki. Jeżeli ta stanie się przedmiotem szkolnym, okaże się wtedy więcej niż obecnie potrzeba lekarzy szkolnych, instytucyi tylokrotnie już żądanej, której dobrych owoców dziś na razie nawet ocenić nie podobna. Miejmy nadzieję, że z rozwojem ulepszeń i postępem w tym kierunku przyjdzie kolej i na to, o czem dzisiejsze sprawozdanie Rady szkolnej na razie zapomniało.

Poznaliśmy zewnętrzną postać szkoły; — wejdźmy do wnętrza i poznajmy jej życie. Istotą szkoły obok uczniów są nauczyciele; od ich pracy mniej lub więcej

[1]) Sprawozd. c. k. R. Szk. kr. za r. 1894/5 str. 4.
[2]) tamże str. 3.

wydatnej, od ich charakteru, taktu, stosunku do publiczności zależy dobre lub mniej dobre imię szkoły, bo to już dawno powiedziano: »jaki nauczyciel, taka szkoła«. Na dobrego nauczyciela składa się tyle czynników, że w znacznej mierze nie są one od Rady szkolnej zawisłe, a na ich ukształtowanie się ona tylko pośrednio wpływ wywierać może. Środki, którymi Rada Szkolna rozporządza, prowadzą tylko albo do wynagrodzenia nauczycieli za sumienną i wydatną pracę, lub nieprzyznania mu pewnych emolumentów. O tej też tylko stronie dowiadujemy się ze Sprawozdania rocznego. Ponieważ dotychczas posunięcie nauczyciela do VIII rangi służbowej po 15 latach służby rzeczywistej należy poniekąd do nagród, dowiadujemy się więc np., że na 425 profesorów i nauczycieli rangę tę posiadało 111 czyli 23·7% ogólnej liczby, a że 23 jeszcze do mianowania było przedstawionych. Ze względu na ogólny stan rzeczy nie jest to wiele, jeśli się jednak zważy, że za dawnych czasów (tak np. przed 13 laty) na 300 mniej więcej nauczycieli rzeczywistych miało rangę VIII pięciu — to widzi się olbrzymią różnicę w tych latach ostatnich. Pochodzi to stąd, że Rada Szkolna nie uważa słusznie przyznania tej rangi za szczególne odznaczenie, ale udziela jej każdemu nauczycielowi, który się w ciągu 15-letniej służby w charakterze rzeczywistego nauczyciela na naganę lub dochodzenie dyscyplinarne nie naraził.

Uznaniu i odznaczeniu inną Rada szkolna nadała postać. Oto w miarę przyznanych jej środków stara się o uzyskanie stypendyów na wyjazd za granicę w czasie wakacyi lub zasiłków na zjazdy filologów, historyków, przyrodników lub wogóle nauczycieli, aby przez zbliżenie się do umysłowego ruchu większych centrów naukowych ożywiła się w nauczycielach ambicya naukowa, rozdmuchał zapał do zawodu, chwilowo może przez wytężającą pracę i stosunki nieprzyjazne przygasły, a tym sposobem pośrednio i szkoła na tem zyskała. Filologom i historykom, z których corocznie dwóch wyjeżdża, Rada Szkolna wyrabia u ministra stypendya na podróż do Rzymu i Grecyi i dzisiaj już są piękne owoce tego kierunku.

Ze względu na niepospolite korzyści podróży naukowych i wyjazdu za granicę życzyćby sobie tylko należało, aby mniej było skąpe ministerstwo dla Galicyi; nie wątpimy też, że z czasem uda się Radzie Szkolnej i w tym kierunku uzyskać dla naszych nauczycieli hojniejszą dotacyę.

Główne usiłowania Rady szkolnej skierowane są ku pozyskaniu takiej liczby nauczycieli i suplentów, jakiej w danym razie potrzebuje. Przypomnijmy sobie wzrost frekwencyi w ostatnich latach dziesięciu i w miarę tego przyrost klas równorzędnych, a częściowo i osobnych zakładów i porównajmy go z rocznym przyrostem sił nauczycielskich (w ostatnim roku np. wynosił przyrost ten 20 nauczycieli) a dostrzeżemy łatwo, że brak sił nauczycielskich jest istotnie wielki i z każdym rokiem się stopniuje. I tak w r. 1890/1 brakowało 9 zastępców nauczycieli, w 1891/2 — 15; w 1892/3 — 19; w r. 1894/5 — 29(!); w r. 1895/6 — 27; ile w ostatnim roku brak wynosił, nie podaje najświeższe sprawozdanie. Jakże sobie radzi w podobnych wypadkach Rada szkolna? Oto przedewszystkiem, gdzie tylko może, nie dzieli klasy na dwa lub więcej oddziałów, chociaż liczba uczniów przekracza znacznie 50[1]. Pod tym względem stosunki w niektórych gimnazyach są rozpaczliwe. I tak w gimnazyum rzeszowskiem na początku bież. roku szk. 1897/8 było w kl. I 197 uczniów, podzielonych na 3 oddziały, t. j. że w każdej klasie było ich po 66!! — w klasie III uczniów 124 podzielono na dwa oddziały, a więc po 62; w klasie VI niepodzielonej było uczniów 60! a w klasie VII 54; — w gimnazyum drohobyckiem było w kl. III uczniów 57; w gimnazyum jarosławskiem w klasie II 112 podzielonych na dwa oddziały po 56; w gimnazyum jasielskiem w kl. VI uczniów 58 w gimnazyum akademickiem (ruskiem) we Lwowie w klasie I uczniów 117 w dwu oddziałach, a więc po 58 i 59, w kl. VI niepodzielonej uczniów 58; w gimnazyum V we Lwowie w kl. I uczniów 126, podzielonych na dwa oddziały, a więc po 63; w gimnazyum stryjskiem w kl. IV niepodzielonej było uczniów 67!!; w gimnazyum tarnowskiem w kl. III było uczniów 122 w dwóch oddziałach, więc po 61; w szkole realnej krakowskiej było w kl. I uczniów 183 w trzech oddziałach, więc po 61, a w kl. III 136 w dwu oddziałach po 68!! — w szkole realnej lwowskiej w klasie VI niepodzielonej było uczniów 60!...

Kto nietylko w takich klasach nie uczył, ale ich nawet nie widział, ten nie ma pojęcia o powietrzu, wypełniającem przestrzeń w takiej izbie, o pracy nauczycieli, zmuszonych plan wykonać, zwłaszcza w klasach wyższych, o strasznych niepewnościach klasyfikacyi, skoro się dokładnie uczniów nie poznało, i o wszelkich innych niekorzystnych następstwach. Złe to tak wielkie i dla nauczycieli tak wstrętne, że wolą od niego inne pozornie mniejsze, którego też administracya szkolna używa, t. j. przybranie pewnej, nieraz znacznej liczby godzin nauki, ponad przepisane maximum, aby uczyć po 4 do 5 godzin dziennie nieraz bez przerwy i to za bardzo skromnem wynagrodzeniem[1]). Środek ten — niestety! — jest w pełnem użyciu, skoro innego nie ma, i dziwnie on odbija od rozporządzeń, ograniczających nauczycielom udzielanie lekcyi w zakładach prywatnych za dobrem wynagrodzeniem.

Rada szkolna widzi złe, stara się o jego usunięcie, podejmuje prawdziwie syzyfową pracę — a złe nietylko jest, ale jeszcze potężnieje. I tu znowu musimy zaznaczyć, co jest rzeczą ogólnie znaną, że ten stan rzeczy jest tylko następstwem niezbyt odległych czasów, kiedy mając dostateczną ilość nauczycieli, brutalnie nieraz odtrącano ludzi od tego zawodu, egzaminowanym kandydatom dawano połowę remuneracyi, zastępcy nauczyciela (tak zwani pół suplentury), kiedy egzaminowani zastępcy czekali na posady rzeczywistych nauczycieli po 5, 6, a nawet 10 lat, tracąc w zapasach o życie i utrzymanie rodziny zdrowie, a często i życie. To lekceważenie wykształcenia naukowego i wyższych aspiracyi, pomiatanie rzetelną pracą, gaszenie zapału i wstrzymywanie się od wszelkiego uznania, trwające lat kilkanaście, rozgoryczyło do tego stopnia nauczycieli, że pod groźbą klątwy rodzicielskiej zakazywali synom swoim zapisywać się na wydział filozoficzny, a uczniom swoim jak najwymowniej obranie tego zawodu odradzali. Dziś nie pomogą stypendya, nie pomogą ułatwienia w żądaniach egzaminowych, ulgi w okresie przygotowywania się do egzaminu — młodzież odwróciła się od tego zawodu i tylko niewielu nęci to jeszcze, że bez egzaminu państwowego będą pobierali na początek zaraz 600 zlr. remuneracyi i będą tytułowani »panami profesorami«.

Po kilkoletnich staraniach dyrektora gimnazyum św. Anny w Krakowie Dra Leona Kulczyńskiego, który

[1]) Maximum to oznaczone w powyżej cytowanem rozp. minist. z 11 marca 1857 r.

[1]) Za jedną godzinę filologiczną wypada około 90 centów.

jeśt docentem pedagogii w Uniwersytecie Jagiellońskim, urządziła Rada szkolna kurs przygotowawczy przy tem gimnazyum, przeznaczony dla uczniów wydziału filozoficznego, którzy przynajmniej 6 półroczy już ukończyli, a pragną się poświęcić zawodowi nauczycielskiemu. — Kurs ten kształci kandydatów teoretycznie i praktycznie (pobierają oni miesięcznie stypendyum w kwocie 25 złr., aby się szkole oddać mogli w zupełności) i przyczynia się do tego, że rok rocznie przynajmniej 6 młodych adeptów wchodzi do szkoły obeznanych mniej lub więcej z prawidłami pedagogiki i dydaktyki, i pewniejsze stawia kroki w tym trudnym i odpowiedzialnym zawodzie. Mają oni jeszcze i tę korzyść, że odbywając praktykę już po 8 semestrze mogą wśród tego przygotowywać się do egzaminu, nadto poznani przez kierownika i inspektora krajowego łatwiej w Krakowie suplenturę uzyskają.

Instytucya to więc pożyteczna z wielu względów, bo wpływa na jakość przyrostu sił nauczycielskich.

Po nauczycielu, drugie miejsce w szkole zajmuje książka szkolna. Prawda, że dobry nauczyciel potrafi i bez książki nauczyć, ale i to prawda, że zła książka utrudnia pracę nauczycielowi, jest mu kamieniem u nogi i zużywa wcześnie jego energię. Nie powiemy złe, ale słabe, lub co częstsze niezręczne podręczniki szkolne są rysem charakterystym naszego szkolnictwa. W pierwszych latach po wprowadzeniu języka polskiego do wszystkich szkół średnich nie można było przebierać, ale brać co było — przeważnie żywcem z niemieckich podręczników tłomaczone. Ale od tego czasu upływały lat dziesiątki, a nasze książki szkolne były prawie w całości te same. Dopiero Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych dało akcyi początek, Rada Szkolna wzięła je następnie w swe ręce, po rewizyi dawnych książek, przyszła kolej na oryginalne i w ten sposób ostatnie Sprawozdanie Rady Szkolnej może z zasłużoną dumą wykazywać różnicę, jaka istnieje między książkami z r. 1887 a 1897. Szczególniej uwydatnić należy niezaprzeczoną wyższość obecnych książek do nauki języka polskiego, niemieckiego, historyi powszechnej i polskiej, i propedeutyki filozoficznej. Dość przypomnieć dawne wypisy Mecherzyńskiego lub t. zw. galicyjskie i porównać je z obecnymi wypisami prof. Tarnowskiego, albo książkę niemiecką Rebena — z książką Germana i Petelenza, historyę powszechną Gindelego, z książką prof. Zakrzewskiego, a ma się już dostateczne w tej różnicy pojęcie.

Ale praca pod żadnym względem jeszcze nie ukończona. Pomijając to, że książki te muszą się w nowych wydaniach ulepszać, potrzebna wielka staranność w rewizyi książek niemieckich na klasy wyższe, wypisów greckich na klasy średnie, a poniekąd i opowiadań z dziejów powszechnych na klasy niższe. Czas by również był do zastąpienia gramatyki języka polskiego inną, liczącą się z postępem nauki i potrzebami szkoły, czas na oryginalne polskie opracowania dogmatyk dla V i VI klasy itp.

Dwie jeszcze nasuwają się nam w tym przedmiocie uwagi. Że książki obecnie lepsze są nieporównanie tańsze może nie wiedzieć ten, kto wiedzieć nie chce, lub nie ma o tem pojęcia; byłyby jednak może jeszcze tańsze, gdyby była w ich wyborze jaka konkurencya. Tak jak jest obecnie — poczyna się wyrabiać monopol, a ten zwłaszcza w tym kierunku jest stanowczo szkodliwy. Niezwykły wybór, pozostawiony gronom nauczycieli, widzimy w podręcznikach do matematyki; czy się to stało przypadkiem, czy przez rzeczywistą emulacyę, nie wiemy, ale pragnęlibyśmy, aby we wszystkich przedmiotach panowała obfitość podręczników i aby one dobrocią swoją wyrabiały sobie szersze użycie, a co za tem idzie większy pokup. Inaczej protegowane podręczniki mogą na długie lata wstrzymywać konkurencyę ze szkodą nauki, a często i kieszeni własnych.

Na trzeciem miejscu w szeregu pomocy naukowych stoją zbiory szkolne, jak biblioteki, muzea przyrodnicze i archeologiczne, zbiory map i gabinety fizykalne. Na tablicy 9 a str. VIII napotykamy w rubryce wydatków na szkoły średnie w Przedlitawii a szczegółowo w Galicyi z Krakowem wstawioną kwotę 185 złr. w rzędzie »Potrzeb naukowych« dla gimnazyów, a na tablicy 10—277 złr. dla szkół realnych. Ze względu na śmiesznie małą sumę, wynoszącą 2·46% i 5·95% ogólnej sumy w Przedlitawii przypuszczamy, że przez te »potrzeby naukowe« co innego rozumiano, bo byłoby w każdym razie dziwne, gdyby rząd na ten cel wyznaczył jakiś fundusz, skoro oprócz opłaty szkolnej, ściąga od rodziców nawet najuboższych taksy wstępne i datek na zbiory, który trzeba zapłacić corocznie. Jeżeliby ta składka nie osiągła 440 złr. w normalnem 8 klasowem gimnazyum a 560 złr. w 7 klasowej szkole realnej, wtedy rząd resztę potrzebną do tej sumy dopłacić jest obowiązany. Ponieważ zaś u nas w Galicyi nie ma gimnazyum i szkoły realnej, którehy miały tylko klasy główne bez równorzędnych przeto kwota ta wszędzie była wyższa; gdzie szczególna zachodziła potrzeba uzupełnienia zbiorów, tam Rada Szkolna dodawała z funduszu naukowego. Rzecz to szczególna, że datki uczniów nietylko pokryć muszą potrzeby środków naukowych dla uczniów ale i potrzeby biblioteki nauczycielskiej, a więc zarówno dzieł nowych jak i prenumeratę czasopism naukowych, i stąd pochodzi, że często biblioteki dla uczniów są ubogo wyposażone i nie dają uczniom tego, co dawać powinny. Prawda, że korzyści naukowe nauczycieli są korzyścią i dla szkoły czyli uczniów, ale nam się zdaje, że ten wypadek pokrywać powinien budżet ministerstwa, a nie datki uczniów.

Ponieważ Sprawozdanie Rady Szkolnej poza ogólnemi zastawieniami, w kolumnach cyfr nic więcej o zbiorach naukowych nie mówi, nie możemy w inne szczegóły się wdawać, chociaż możnaby przy tej sposobności powiedzieć nieco o niedostatecznem wyposażeniu wielu muzeów i gabinetów, o nauczaniu na obrazkach, zamiast na okazach, o braku muzeów archeologicznych do filologii klasycznej itp. Może kiedyindziej stosowniejsza do tego nadarzy się sposobność.

Tymczasem przystępujemy do ważnej bardzo części sprawozdania, bo do zobrazowania rezultatu nauki w takich zakładach, i z takimi środkami naukowymi, jakie powyżej widzieliśmy.

Pessymiści — i to nietylko ci, którym szkoła niegdyś dała się we znaki — twierdzą kategorycznie, że stosunek pracy nauczycieli i uczniów do uzyskanego rezultatu wykształcenia prawdziwego i zdobytej inteligencyi jest niesłychanie nieproporcyonalny; co więcej głośny nawet daje temu wyraz, że zdolne często głowy nietylko w obecnym systemie nauki nie mogą się rozwijać, ale niedołężnieją, stawszy się magazynami napchanych szczegółów naukowych. Zaprzeczenia takim opiniom, pochodzącym ze sfer poważnych, nie znajdziemy w Sprawozdaniu, owszem z cyfr klasyfikacyi możnaby wnosić, że wszystko, co mniej zdolne i pilne, odpadła, a tylko prawdziwa śmietanka w świat wychodzi; — natomiast z ogólnego obrazu stanu naszych

szkół średnich można wyciągnąć konkluzye, które niestety, podobne zdania poprzeć muszą.

Jedna z zasadniczych podstaw pedagogii nowoczesnej jest uwzględnienie w szerokiej mierze zarówno w wychowaniu jak i nauczaniu indywidualności wychowanka, t. j. jego fizycznych i umysłowych właściwości temperamentu, skłonności i t. p. Taka psychologiczna dyagnoza daje dopiero nauczycielowi właściwe pedagogiczne i dydaktyczne środki w ręce i z ich pomocą może dopiero w tem ogródku (jak stare porównanie nazywa umysł dziecięcy) na właściwem miejscu i we właściwym czasie właściwe zasiewać kwiaty i jarzyny. Kto rozumny może dzisiaj żądać od doświadczonego nawet pedagoga, aby on w dwu lub trzech godzinach tygodniowej nauki poznał dokładnie swych uczniów, których ma n. p. w kl. I 62, w kl. III 58, w kl. VI 60, w kl. VII 54!! A jeśli wytrawny nauczyciel takiemu zadaniu nie podoła, możnaż je stawiać początkującemu, niekiedy nawet do tego zawodu nieuzdolnionemu, którego jednak dlatego zamianowano zastępcę nauczyciela, bo jest wielki brak sił nauczycielskich? A że to trafia najczęściej zakłady przepełnione, bo jest jak 2 i 3 — łatwo sobie wyobrazić, jaki może być rezultat nauki w takich warunkach, jak nie ze złej woli, nie z tak zw. prześladowania, ale z prostej niemożliwości dokładnego zbadania ucznia, popełnia się błędy w klasyfikacyi, ku równemu rodziców i nauczycieli niezadowoleniu.. Oto np. w przepełnionem gimnazyum IV we Lwowie wynik klasyfikacyi z końcem r. 1896/7 był taki, że na 733 uczniów publicznych i prywatnych — 169 nie otrzymało postępu do klasy czyli około 23%! Podobny stosunek widzimy w również bardzo przepełnionem gimnazyum rzeszowskiem (na 663 nie otrzymało postępu 104) w samborskiem (460—90) a bardzo niekorzystny w gimnazyum brodzkiem, bo na 450 uczniów 111 nie otrzymało promocyi, — czyli 25%! Znaczna część zakładów utrzymała się w średniej mierze 12—13%; stosunkowo najlepszy rezultat dały gimnazyum św. Anny w Krakowie (9·5%), gimnazyum Sobieskiego w Krakowie (8·5%), gimnazyum sanockie (7·2%), tarnowskie, bo ich miało 113 na 639 czyli 17·6%, potem gimnazyum św. Anny (12·7%), gimnazyum III (12·6%); ostatnie zaś miejsce wypadnie gimnazyum złoczowskiemu, — bo tylko 3·6%.

Twierdzenie nasze ma poparcie i w cyfrach rezultatu egzaminu dojrzałości. W przepełnionem gimnazyum św. Anny reprobowano przy egzaminie dojrzałości 11·5% w gimnazyum V we Lwowie 15·7%, w szkole realnej krakowskiej 17·3%, lwowskiej 19·5%, a w gimnazyum rzeszowskiem aż 23·8%! Najlepiej wypadł egzamin dojrzałości w gimnazyach nieprzepełnionych jak w Bochni, Brzeżanach, Przemyślu i Wadowicach; w tych bowiem ani jeden abituryent nie przepadł. Ze względu na ilość celujących uczniów, w stosunku do dojrzałości pierwsze miejsce zajmuje Chyrowski zakład OO. jezuitów (8 celujących na 20 dojrzałych) potem gimnazyum bocheńskie, nowosądeckie, stanisławowskie, wadowickie; ostatnie miejsce zajmuje gimnazyum rzeszowskie, gdzie na 16 dojrzałych ani jeden nie uzyskał odznaczenia.

Jeżeli się zważy, że z tych, którzy się wpisali do kl. I przychodzi do egzaminu dojrzałości zaledwo $^1/_8$ część, i z tego jeszcze przepadło średnio przeszło 10%, to rezultat nauki jest istotnie nie wielki, a przedewszystkiem sito, przez które się uczniów przesiewa bardzo gęste... *(Dok. nast.)*

Bakałarz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polak o Galicyi.

Od pół wieku Kraków przyjmował w swoje mury setki ludzi ze wszystkich ziem polskich, którzy przybywali tu albo po starganem i wykolejonem politycznemi wstrząśnieniami życiu, albo jeszcze w pełni sił i zdrowia pragnęli swoim talentem, wiedzą, przedsiębiorczością lub kapitałem ocknąć i pobudzić do silniejszego życia tutejsze biedne i długoletnią germanizacyą przytępione społeczeństwo. Immigracya ta wzmagała się w miarę, jak ster instytucyj publicznych i prywatnych przechodził w ręce obywatelskie, bo w braku korzystnych ekonomicznych warunków, Kraków starał się o to usilnie, aby rozbudzić tu życie umysłowe i powołać na cały szereg choćby skromnych posad zastęp Polaków, nietylko z za kordonu, ale nawet z bardzo odległych stron. Tak częścią z własnej inicyatywy, częścią na wezwanie tutejszych obywateli, osiedlali się w Krakowie ludzie w zupełnie odmiennych warunkach wychowani, porzucali często świetną zagranicą im otwierającą się przyszłość, żeby na polskiej ziemi pracować i wszczepić w tutejsze społeczeństwo te ciężką pracą na obczyźnie zdobyte czynniki, których brak jest wadą naszego narodu. Przybywali tu kolejno żołnierze polscy z 1831 r., biskupi i prawdziwy kwiat duchowieństwa, artyści, uczeni; napływ ten trwa ciągle jeszcze i podczas gdy jedni, założywszy tu różne dobroczynne instytucye, ochronki, szkoły, stypendya, zakończyli tu swój zasłużony żywot, inni, a wcale nie starzy jeszcze, oddają się codziennej pracy, zwłaszcza nad wychowaniem młodzieży. Jeśli, co daj Boże, dzisiejsza generacya młodzieży ze szkół krakowskich wychodząca, wyrośnie na prawdziwą chlubę kraju, będzie to ona w znacznej mierze zawdzięczać okoliczności, iż wychowywała się pod kierunkiem nie pewnej zaściankowej warstwy ludzi o ciasnym horyzoncie, ale pod okiem najwybitniejszych ludzi ze wszystkich dzielnic polskich, którzy tu zjechali się nie dla deklamacyj lub rekryminacyj, ale dla codziennej uciążliwej, a dodatniej zawodowej pracy.

Było i tu bowiem rekryminacyj i frazeologii dużo, bo otwierające się w Krakowie warunki dla organicznej narodowej pracy, były tak odmienne od atmosfery, w której część przybyłych z czterech stron świata emigrantów dotychczas żyła, że ludzie ci nie mogli się w tej zmienionej sytuacyi zoryentować. Nie mogąc przejść w czyn, objawiły się tu najróżniejsze kierunki messyanistyczne, marzycielskie, historyozoficzne, pseudofilozoficzne i bardzo wiele innych w całej plejadzie ulotnych broszur

i pism, nawet w brudnych paszkwilach. Rzucano potwarze na najzacniejsze i najbardziej zasłużone jednostki, a schlebiano ogółowi, pewnym grupom politycznym, albo też masom, właśnie w chwili, kiedy grono najwybitniejszych ludzi dla otrzeźwienia społeczeństwa używało słów gorzkich, a w jeszcze bardziej gryzącą szatę ironii przybranych.

Historya przeszła bardzo prędko do porządku dziennego nad temi piśmidłami, a jeżeli oddajemy się dzisiaj tym smutnym rozpamiętywaniom, to dlatego, że mamy przed sobą broszurę, która choć etycznie stoi od tamtych wyżej, jest dla nas o tyle boleśniejszą, że jakkolwiek z dobrą wiarą pisana, rzuca najdotkliwsze obelgi nie już na jednostki, ale na całe społeczeństwo; pierwszy to raz także autor polski występuje na polskim gruncie jako »obcokrajowiec lub nawet obcopaństwowiec«, pierwszy raz zamiast namiętnego tonu literatury poemigracyjnej spotykamy ekspektoracye zimne, pełne brutalnych i wstrętnych wyrażeń i ustępów, a całą książkę, kończąca litania żalów autora, odsłania nam mgliste tajniki duszy, obejmującej równą tkliwością wszystkie społeczeństwa, tak w państwach autokratycznych jak republikańskich, tak na naszej półkuli jak u Somalisów lub Buszmanów. P. Baudouin de Courtenay, emerytowany profesor filologii w Dorpacie, a obecnie tytularny profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, osiadły od lat kilku w Krakowie, nie mógł się oprzeć potrzebie wynurzenia w broszurze »Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślnej«, najróżnorodniejszych i bezładnych inkryminacyj przeciw tutejszemu społeczeństwu. Nicią, łączącą rzekomo te wszystkie zarzuty, ma być oburzenie autora na zakorzeniony w Krakowie zwyczaj podawania fałszywych zeznań do wymiaru podatku domowego. Rzecz ta jest niewątpliwie godną ubolewania, zwłaszcza, że takie zeznanie ma być stwierdzone własnoręcznym podpisem, równoważnym przysiędze. Z dziwnym wszakże jak na »uczonego«, za jakiego autor słusznie się podaje, bezkrytycyzmem i powierzchownością buduje autor na tym objawie ogólny zarzut »fałszywej fasyi moralnej«, który pociąga za sobą cały szereg praktykowanych przez społeczeństwo brudów i podłości.

Nie chcąc w ten sam błąd popadać, rozbierzemy osobno sprawę fałszywych fasyj, osobno rzucimy okiem na inne zarzuty.

Prawdą jest, że właściciele domów często zmuszają swoich lokatorów do zeznawania przed władzą niższej kwoty czynszu, niż umówiona; prawdą także, że nadużycie to w innych prowincyach austryackich nie jest tak częste jak w Galicyi. Tkwi w tem jednak przesada, jeśli autor mniema i pisze, że podawanie fałszywych fasyj jest powszechnym zwyczajem w Galicyi, bo wiele osób podaje je zupełnie rzetelnie; z drugiej strony zapatrywanie autora, iż w innych prowincyach austryackich fałszywe fasye nie zdarzają się, dowodzi o wielkiej nieznajomości przedmiotu. Zarówno w Wiedniu jak w miastach prowincyonalnych właściciele domów zatajają przed władzą rzeczywisty dochód z czynszów, tylko przyoblekają to nadużycie w inną formę, starają się na lokatora podatek domowy przerzucić, obliczają mu osobno czynsz mieszkalny, a osobno wynagrodzenie za wodę, gaz, światło, windę i t. d. Jest to zresztą nietylko galicyjski lub austryacki zwyczaj, ale objaw na całym świecie panujący, że opodatkowani podają niższy przedmiot podatku niż w rzeczywistości; przy podatku spadkowym np. na całym świecie, podają interesanci takie niezgodne z prawdą kwoty.

Jakkolwiek więc reforma podatku domowego w kierunku oceniania dochodu z czynszów przez komisye obywatelskie jest bardzo pożądaną, a poruszone przez p. Baudouina nadużycia nie są objawem, na galicyjskim jedynie gruncie wyrosłym, są one bolesne i potępienia godne; jednostka zarówno jak i społeczeństwo ponosi tu niewątpliwie winę, ale większą daleko winę ponosi ustawodawca, co niewłaściwą do wymiaru podatku obrał podstawę i rząd, co te nadużycia toleruje. Może nawet nie będzie za śmiałem twierdzenie, że rząd z jednej strony tolerując świadomie te malwersacye, z drugiej ustanawiając, a przynajmniej utrzymując tak długo wręcz niewłaściwy system pobierania podatku domowego, merytorycznie zwalnia podatnika od powiedzenia prawdy, choć formalnie jej żąda pod rygorem nieuczciwości. Wolno obcokrajowcowi czy obcopaństwowcowi mieć co do samego faktu fałszywych fasyj odrazę, jaką czuje każdy uczciwy człowiek do kłamstwa, ale nie wolno mu na tym punkcie opierać uwag, które zohydzają całe społeczeństwo, jeśli nie zbada poprzednio wszystkich temu smutnemu objawowi towarzyszących okoliczności.

Podatek domowo-czynszowy wynosił w Austryi od r. 1820 18%, a na mocy ustaw z r. 1849 i 1882 $26^2/_3$ procentu od tak zwanego rzekomego dochodu netto z czynszu przez najemcę opłacanego. Że ten dochód »netto« jest czysto fikcyjnym, wynika ztąd, że właścicielowi domu w myśl zasad jeszcze w patencie z r. 1788 wyrażonych, wolno jest potrącić tylko 15% dochodu brutto na koszta utrzymania, reperacyi i amortyzacyi domu, a przy nowych domach, opłacających tylko pięcioprocentowy podatek rządowy, wolno było część zawartego w podatku domowym podatku dochodowego przerzucić na wierzyciela hipotecznego przez potrącenie temuż wierzycielowi przy wypłacie rent lub odsetek 5% od tych odsetek. Jest rzeczą jasną, że to przerzucenie podatku jest czysto fikcyjnem, bo wierzyciel hipoteczny nigdy się na nie nie zgodzi, a raczej przy udzieleniu pożyczki zażąda odsetek, co najmniej o te do potrącenia przeznaczoną kwotę wyższych. Podatek domowy więc, który w istocie swej ma być rodzajem podatku dochodowego, jak to jasno z (częściowego przynajmniej) uwolnienia budynków rolnych od podatku wynika, zmienia w praktyce życia to swoje zadanie i zamiast na rzeczywistym, polega (podobnie jak i podatek gruntowy) na fikcyjnym dochodzie. Właścicielowi domu wymierzają bowiem podatek nie od rzeczywistego dochodu netto z domu, tylko od fikcyjnego dochodu. Choćbym mianowicie cały czynsz z domu obracał na zaspokojenie hipotecznych długów, choćby najemca nie zapłacił mi wcale czynszu z powodu popadnięcia w nędzę, to okoliczności te nie dawały mi dotąd prawa do żądania odpisu podatkowego, bo ustawodawca opodatkował nie dochód, jaki dom przyniósł, ale jaki dom wynajęty p o w i n i e n b y ł przynieść.

Z tego, wręcz niezgodnego z etyką, ani z wymaganiami życia, założenia wychodząc, stworzył ustawodawca rzecz wprost niesprawiedliwą, którą tylko ten również fałszywy argument, uzasadnić może, że inaczej podatnicy omijaliby ustawę i usuwali się od podatku, podając fikcyjne długi wierzycieli lub fikcyjne niewypłatności najemców. Fałszywym jest zaś ten argument dlatego, że jest rzeczą ustawodawcy obmyśleć takie przepisy, któreby się obejść nie dały, a przecież z etyką i potrzebami życia były zgodne. Ale patent ów pochodzi z epoki największego absolutyzmu, kierującego się jeszcze etyką józefińską; ta już od początku w nim tkwiąca niesprawiedliwość wzmogła się z biegiem czasu, w miarę jak kraje i miasta zaczęły nakładać ciągle wzra-

stające dodatki do podatków bezpośrednich. Jeśli $26^2/_3\%$ od fikcyjnego dochodu było niesprawiedliwością i krzywdą, to wskutek systemu dodatków do podatków $40-50\%$ od fikcyjnego dochodu, musiało cały ten dochód absorbować. Wiedział o tem zarówno rząd jak i opodatkowani, fasye stały się konwenansową nieprawdą, której opodatkowany chwycić się musiał, a na którą rząd patrzył przez szpary i tylko w bardzo jaskrawych wypadkach pociągał winnych do odpowiedzialności. Nietylko tolerowały to zatajanie prawdziwych czynszów urzędy skarbowe, ale czyniły to świadomie najwyższe władze; kilku ministrów skarbu powoływało się w rozprawach nad nową ustawą podatkową na notoryczność nadużyć, a nowa ustawa zniżeniem podatku dochodowego a ścisłą kontrolę wysokości czynszów pragnie podnieść t. zw. moralność podatkową.

W tych warunkach wymagane przez ustawę podpisanie klauzuli: »Ja, niżej podpisany, oświadczam niniejszem, że powyższy dochód z czynszów podałem prawdziwie i sumiennie« spadło do znaczenia przykrej, ale konwenansowej formy; o równoważności takiej formy z przysięgą w ścisłem tego słowa znaczeniu mówić nie można, skoro ustawa wyraźnie przepisuje, że przy dochodzeniu zatajenia czynszu władza polityczna ma przesłuchać strony czynsz opłacające i przypomnieć, że ich słowa mają mieć ważność przysięgi, przysięgi jednak w żadnym wypadku od stron odbierać nie wolno. Ustawa zresztą zawiera kilka wskazówek, że nie przywiązuje absolutnej ścisłości do zeznań opodatkowanych. I tak może sprostowanie fasyi nastąpić w drodze dobrowolnego kompromisu (gütliches Einvernehmen) z właścicielem realności i specyalnie jeszcze zaznacza, że jeśli takie sprostowanie następuje za zgodą opodatkowanego, to należy postępować z względnością (Billigkeit), zwłaszcza, jeśli jest rzeczą notoryczną, iż właściciel domu tanio mieszkania wypuszcza, lub jeśli drobni przemysłowcy lub drobni rolnicy zajmowane przez siebie własne domy tanio taksują. Te to właśnie postanowienia pociągnęły za sobą niejednostajną i luźną praktykę podatkową; o oszukiwaniu rządu trudno mówić, skoro ten, rzekomo oszukiwany, wie o umyślnych zniżeniach. Ustawa była wręcz niewykonalną, a opodatkowany znajdował się w stanie obrony koniecznej; właściciel, co raz czynsz stracił przez niewypłacalność lokatora, etycznie miał pewną podstawę do podania drugi raz czynszu niższego, bo go rząd skrzywdził, biorąc podatek z tego, co do kieszeni właściciela nie wpłynęło; gdzieindziej niejeden podał czynsz prawdziwy, ale urząd podatkowy mimoto przy sprostowaniu go podniósł, a więc ten skrzywdzony nie czuł się winnym, jeśli za drugim razem podał czynsz niższy.

Sprawa brzydką pozostała ale nie była hańbiącą; całe nasze prawo prywatne zawdzięcza swój rozwój takim drobnym obejściom ustawy, a o kontrakcie kupna już przed dwoma tysiącami lat powiedział rzymski jurysta, *in contrahenda emtione licet contrahentibus invicem sese circumvenire*.

W tem świetle sprawa fałszywych fasyj traci dużo ze swojej jaskrawości, a że z rokiem bieżącym straciła także na aktualności, co sam autor na ostatniej stronicy przyznaje, przeto zapytać się godzi, dlaczego autor tę tak przykrą sprawę, dzięki Bogu już pogrzebaną, wywlókł i uczynił, bez względu na wszelki logiczny związek, myślą przewodnią swojej broszurki? W luźnych, niepowiązanych ze sobą uwagach, pełnych żółci i jadu, obrzucił p. Baudouin błotem wszystko i wszystkich w Galicyi z wyjątkiem żydów, feministek i socyalistek, przeplatając te obelgi wyszydzaniem katolickiej religii i niezliczonymi dowodami, że nietylko nie zna spraw, które porusza, ale nie uważa się za należącego — chyba mechanicznie — do społeczeństwa, którego wady kreśli jako obcokrajowiec lub obcopaństwowiec. Z lubością rozróżnia autor katechizm od innych »kompendyów grzechoznawczych«, opartych na dekalogu i innych »kodyfikacyach starożytnych«; katolików »prawdziwych« oddziela od ludzi udających katolików a nie wierzących w dogmaty; zasadę *»do ut des«* nazywa kupiecko-teologiczną, założone niedawno w jak najczystszej intencyi towarzystwo tanich mieszkań dla robotników katolików, nazywa zyskownem przedsiębiorstwem i wyzyskiwaniem nazwy katolika w celach geszefciarskich i t. d. Za dogmaty galicyjskie uznaje dogmat propinacyi, dogmat oportunizmu, dogmat obrony istniejącego porządku, tak wygodny »dla panującej klasy społecznej, dla panującej kuryi, d l a p ł c i p a n u j ą c e j«.

Wielki ból może wywołać niejedno słowo jadem zatrute; p. Baudouin nie cytuje »Grobu Agamemnona«, nie mówi nam o swoim bólu, tylko o swym żalu; żal mu wszelkiego rodzaju niewolników, pojedynkowiczów i t. d., żal wreszcie »niedostatecznie zasymilowanego obywatela galicyjskiego, który się kurczy i wije w szponach etyki autonomicznej i pragnąłby się z nich wyrwać«. Nie proponuje lekarstw, stawia tylko dyagnozę choroby; »terapia należy do kogo innego«.

Trudno dać autorowi ostateczną odprawę. Jego książka dotknęła nas do żywego; wywody wydały nam się ogólnikowe i krzywdzące, żale mgliste, na ogólnoludzkiem uczuciu oparte, pozbawione tego serdecznego oddźwięku, który nie miłość ludzkości, ale miłość kraju nadaje. Nasz żal jest bardziej konkretny; żal nam tych, co nie mając przez lat dziesiątki żadnej styczności z bijącem tętnem naszego publicznego życia, biorą dzień dzisiejszy za całość w sobie zamkniętą, nie uznają historycznej Polski, tylko zamykają ją w etnograficznych granicach, nie znając uczuć ani potrzeb naszego społeczeństwa, pragną mu narzucić jakieś falansterami i abstrakcyą tchnące wyobrażenia i urządzenia, żal nam ludzi, którzy nie odczuwają, że zbrodnią jest wyrażać się z lekceważeniem o religii i dogmatach, co wytykają prawdziwe czy mniemane wady narodowe na zimno a nie umieją podać lekarstwa ani słowem, ani czynem; żal nam tych »uczonych«, co nie odczuwają, iż nadany im przez socyalistyczny »Naprzód«, wśród wielkich pochwał, epitet »szermierza prawdy i sprawiedliwości«, jest najcięższą, aż za surową, bo potępiającą oceną ich politycznej broszury. *A. G.*

Pierwszy rok istnienia „Klubu konserwatywnego".

II zwyczajne walne zgromadzenie członków »Klubu konserwatywnego« odbyło się we czwartek dnia 21 stycznia b. r.

Zebranie zagaił prezes klubu prof. dr. Antoni G ó r s k i następującą przemową:

Panowie! Walne zgromadzenie klubu ma dla instytucyi tak młodej, jak nasza, nietylko znaczenie pod względem spraw bieżącej administracyi, ale powinno być chwilą bardzo poważnego wejścia w siebie, wywołać surową krytykę i ożywioną dyskusyę, która obracałaby się przedewszystkiem około trzech punktów: 1) czy klub konserwatywny ma jasno wytknięty program działania w sprawach krajowych i to program nie szablonowy, w jakiś frazes ująć się dający, ale ułożony na podsta-

wie dokładnego zbadania dotyczących kwestyj; 2) czy program ten najlepiej odpowiada dobru kraju i zapatrywaniu większości członków klubu; 3) czy wydział nietylko ten program opracował, ale się go trzymał i jakie na nim w tym względzie ciężą grzechy zaniedbania.

W rozświetleniu tych kwestyj leży zadanie walnego zebrania; ich rozbioru i dojścia do pewnych konkretnych rezultatów wydział pragnie jak najgoręcej, choćby działalność dotychczasowego wydziału w świetle tej krytyki miała się okazać bladą lub ujemną.

Bo proszę wierzyć, że nie po komplementa i nie po przedłużenie naszych mandatów tu przyszliśmy; proszę wierzyć, że choć ten pierwszy rok działalności klubu konserwatywnego każdemu dalej stojącemu wydawać się będzie znaczącym i dodatnim, mimo znacznego wzrostu liczby członków, mimo powodzenia w zainicyowanej przez nas sprawie reformy agrarnej, mimo dodatniego wyniku naszego współudziału w przyjęciu gości czeskich w Krakowie, mimo wreszcie wydania kilku dość ważnych publikacyj i rozpoczęcia z nadmiernemi dla poszczególnych jednostek wysiłkami wydawnictwa »Ruchu społecznego«, wydział klubu jest dla siebie surowym sędzią.

Przekonaliśmy się przedewszystkiem, że przyświecająca nam przy założeniu klubu myśl oddziaływania na szersze masy bądź za pomocą osobistego zetknięcia, bądź przez tworzenie innych stowarzyszeń pod naszym kierunkiem zostających, będzie na długo jeszcze zadaniem ponad nasze siły; dlatego też właśnie postanowiliśmy oddziaływać na zewnątrz w sposób więcej naszym zawodowym zajęciom odpowiedni, to jest przez wydawnictwo pisma. Dalej uwidocznił się fakt drugi, o który już przy założeniu klubu o mało że nie rozbiły się nasze usiłowania; oto wskutek dotychczasowego braku w naszem społeczeństwie swobodnej wymiany zdań i ognisk, w którychby w sposób poważny ścierały się różne polityczne i społeczne zapatrywania, niema w klubie i gronie osób mu przychylnych tej jednolitości, którą tylko dłuższa wspólna praca, wspólne zwycięstwa i klęski wyrobić mogą. Nawet życzliwe nam osoby nie wstępują do klubu, bo aczkolwiek na program nasz się zgadzają, razi je nasza nazwa klubu konserwatywnego; sądzę, że osoby te biorą rzecz powierzchownie, bo dziś istnieją tylko dwa wielkie obozy: konserwatywny i socyalistyczny, a kto z moderantyzmu, czy fałszywego wstydu, czy wreszcie z wierności dla swojej romantycznej przeszłości politycznej inaczej nazywa tę grupę, do której chce należeć, albo ludzi siebie i innych, albo jest partyzantem politycznym, a w obu tych wypadkach w walce tych dwóch wielkich partyj zmieciony zostanie. Nawołujemy więc głośno wszystkich naszych przyjaciół do łączności i szeregowania się, ale jak w tekście ewangelicznym zaproszeni przyjść nie chcą; nigdzie bardziej niż w naszym kraju nie poprzestają ludzie dobrej woli na prowadzeniu polityki na własną rękę, nakształt dawnych konfederacyj, zamiast stanowić łącznie z nami całość organiczną.

Stosunek odwrotny, a również wymagający pewnego porozumienia i wyrozumienia *in camera caritatis*, polega na tem, że osoby, które do naszego klubu przystąpiły, nie widzą w jego działaniu zaznaczenia tych momentów, które według nich stanowić powinny ideę przewodnią stowarzyszenia politycznego. Sposobność do objawienia tego rodzaju życzeń i interpelacyj daje każde nasze dwutygodniowe zebranie, najlepsze do tego pole otwiera się dziś, kiedy ze sprawozdania Wydziału okaże się najlepiej, jakie rodzaje działalności pozostawiliśmy nietknięte i jakich popularnych bardzo, ale naszem zdaniem jątrzących i negatywnych haseł nie wywieszaliśmy. Dyskusyę taką uważamy za pożądaną, nie boimy się, żeby prowadziła do rozdwojenia: owszem, im żywsze będą nad programem klubu lub pominięciem niektórych momentów w tym programie rozprawy, tem silniejszemi staną się łączące nas ogniwa, tem ciaśniejszymi węzły, jednoczące poszczególnych członków z tą codzienną pracą, którą Wydział celem przeprowadzenia naszego programu podejmuje.

Z prawdziwą boleścią muszę wreszcie wspomnieć o stracie, która nas w ubiegłym roku spotkała, okrywając żałobą czcigodny dom uczonego, który był tak łaskaw nietylko nas radą i zachętą wspierać, ale także odczytał w naszem kole i pozwolił w naszych publikacyach ogłosić prace o rozszerzeniu autonomii. W ś. p. Władysławie Kleczyńskim straciliśmy towarzysza może najmłodszego wiekiem, który w charakterze drugiego sekretarza podejmował się z prawdziwym zapałem każdej najmniej wdzięcznej pracy, zapraszał nas na nasze zebrania i całą korespondencyę a później i kasę prowadził, członków nam jednał i w pracach Wydziału gorliwy brał udział. Złożyliśmy wieniec na jego grobie, śląc za nim chociaż tę drobną oznakę naszego żalu i naszej wdzięczności. Cześć jego pamięci.

Następnie odczytano sprawozdanie z czynności ustępującego Wydziału:

Po zatwierdzeniu statutu, zarząd tymczasowy zwołał 18 października 1896 r. I-sze zwyczajne walne zgromadzenie, na którem, po przedłożeniu sprawozdania z czynności przygotowawczych, uskuteczniono wybór Wydziału, w myśl statutu z 8 członków złożonego, a mianowicie wybrano: pp. Ant. Beaupré, Stan. Dąmbskiego, Stan. Estereichera, A. Górskiego, P. Górskiego, Wł. Leopolda Jaworskiego, A. Krzyżanowskiego i K. Pieniążka.

Głównem staraniem Wydziału było urządzenie szeregu pogadanek w zakresie objętym programem prac klubu. Szereg posiedzeń poświęcono omawianiu bieżących spraw politycznych; na pierwszem z nich zajmowano się zasadą solidarności Koła polskiego, która, jak wiadomo, stanowiła główne tło ostatniej walki wyborczej; roli referentów podjęli się pp. Jaworski i Dąmbski, pogadankę o metodzie agitacyi wśród ludu wiejskiego, zagaił Dr. Hupka, a o wyniku wyborów Dr. Beaupré, dwukrotnie przedmiotem dyskusyi była sytuacya wewnętrzna, wywołana rozporządzeniami językowemi, a referowali na ten temat pp. Piotr Górski i Beaupré. Wreszcie w chwili przyjazdu posłów czeskich K. K. uznał za stósowne zaznaczyć swoje autonomiczne zasady przez wydanie na cześć gości śniadania, na którem poseł Górski, imieniem klubu, witał gości słowiańskich.

Poprzednio już jednak poświęcono osobną pogadankę sprawie rozszerzenia autonomii, którą zagaił prof. dr. Józef Kleczyński (z. VI wydawnictw K. K.).

Stosunkowo dużo czasu i trudu poświęcił K. K. w pierwszym roku swego istnienia t. zw. kwestyi agrarnej, z pewnem jednak zadowoleniem może zaznaczyć Wydział, że czas i trud ten prawdopodobnie nie był straconym, i że, dzięki temu, K. K. wpłynął poniekąd na tok krajowej polityki agrarnej. Jak wiadomo, K. K. wniósł z początkiem ubiegłej sesyi podanie do Sejmu, na ręce posła Górskiego, z prośbą o zwołanie konferencyi agrarnej, celem zastanowienia się nad środkami zaradczymi, zdolnymi do przeciwdziałania wadliwemu podziałowi własności ziemskiej. Sejm uczynił zadosyć petycyi klubu, a w zwołanej przez Wydział krajowy konferencyi agrarnej wzięli udział w charakterze przed-

stawicieli klubu pp. Antoni Górski i Adam Krzyżanowski. Wynikiem tej konferencyi jest szereg projektów ustawodawczych, przedłożonych Sejmowi na tegorocznej sesyi. Celem przygotowania materyału dla obrad konferencyi i utrwalenia jej wyników, odbyło się kilka posiedzeń, na których referowali: A. Krzyżanowski o »projekcie reformy agrarnej« (z III. wydawnictw K. K.), dr. Jan Hupka o »gruntach wspólnie używanych« (z V. wydawnictw K. K.), S. Sękowski o »kredycie włościańskim« (z Nr. I. i III. »Ruchu społecznego«), a wreszcie dr. Mikołaj hr. Rey o »kolonizacyi wewnętrznej«.

Prócz tego odbyły się jeszcze następujące odczyty, połączone, jak zawsze, z dyskusyą:

A. Krzyżanowski: »O urzędach pracy«.

Dr. Bresiewicz i E. Piotrowski: »Przymusowe ubezpieczenie od pożarów« (z II. wydawnictw K. K.).

Piotr Górski: »O samorządzie gminnym« (2 odczyty, poświęcone czytaniu wyjątków z II tomu »Samorządu gminnego«, który ma wkrótce prasę opuścić).

Prof. dr. Józef Rosenblat: »Reforma prawa prasowego«.

Adolf Schutz: »O giełdzie«.

Antoni Górski: »Cena giełdowa, a przesilenie rolnicze« (z IV. wydawnictw K. K.).

A. Krzyżanowski: »Współczesny ruch socyalistyczny«.

S. Stępiński: »Szkolne kasy oszczędności«. (Nr. 1 »Ruchu społecznego«).

Wydział klubu ogłaszał drukiem odczyty, wraz z dyskusyą, o ile referenci i mówcy dostarczali wydziałowi rękopisów; wyszło tym sposobem sześć zeszytów wydawnictw klubu, z których pierwszy zawiera program prac i działalności klubu; wypada jeszcze nadmienić, że II-gi zeszyt wydawnictw, zawierający korreferat p. Piotrowskiego w sprawie »przymusowego ubezpieczenia od pożarów«, przetłumaczono na język niemiecki i ogłoszono drukiem we Wiedniu.

Wobec doświadczeniem stwierdzonego faktu, że ulotne broszurki nie wywołują w społeczeństwie tego echa, co wydawnictwa peryodyczne, pojawiła się w łonie Wydziału myśl stworzenia wydawnictwa peryodycznego, a nadzwyczajne walne zgromadzenie, zwołane w tym celu w czerwcu zeszłego roku, poleciło Wydziałowi poczynić odpowiednie kroki przygotowawcze. Ponieważ jednak Wydział nie chciał wiązać istnienia klubu z istnieniem pisma, przeto »Ruch społeczny« wychodzi od 1-go stycznia b. r. jako przedsiębiorstwo prywatne kilku członków klubu, subwencyonowane przez klub.

Liczba członków doszła do 114, nie da się jednak zaprzeczyć, że usiłowania Wydziału, zmierzające do pozyskania członków wśród młodszej generacyi inteligencyi miejskiej, częściowo zawiodły.

Wśród dyskusyi dr. Waligórski zaznaczył potrzebę silniejszego akcentowania w »Ruchu społecznym«, że czasopismo to jest organem klubu, a prof. dr. J. Leo dopominał się szerszego uwzględnienia miejscowych spraw krakowskich.

Zabierali głos nadto pp.: dr Caro, Górski, Lipowski, hr. Rey i wielu innych, poczem, na wniosek dra Caro, przyjęto sprawozdanie do wiadomości, udzielono absolutoryum rachunkowego i jednogłośnie wyrażono podziękowanie ustępującemu Wydziałowi.

Przystąpiono do wyborów, a mianowicie wybrano do wydziału pp.: Antoniego Beaupré, posła do Rady państwa Hermana Czecza, A. Górskiego, posła na Sejm i do Rady państwa P. Górskiego, Wł. Leopolda Jaworskiego, A. Krzyżanowskiego, E. Ginwill-Piotrowskiego, Kn. Tadeusza Puzynę, zastępcami zaś: Dr. L. Caro, Stanisława Estereichera, Jana Hupkę i dr Henryka Szarskiego.

Po zgromadzeniu Wydział ukonstytuował się, wybierając A. Górskiego prezesem, Hermana Czecza wiceprezesem, A. Krzyżanowskiego sekretarzem, Kn. Puzynę skarbnikiem.

Polityka agrarna w Sejmie galicyjskim.

Na jednem ze swych ostatnich posiedzeń, przekazał Sejm petycye i wnioski samoistne, wniesione w sprawie ustawowego oznaczenia minimalnego obszaru parcel katastralnych Wydziałowi krajowemu. Odroczono zatem ostateczne załatwienie tej tak ważnej i pilnej sprawy.

Tegoroczna sesya sejmowa trwa dłużej, niż po inne lata; na tegorocznej sesyi sejmowej uchwalono adres autonomiczny do Tronu. Należało zatem spodziewać się zdwojonej działalności w zakresie spraw, przekazanych ustawodawczej kompetencyi Sejmu. Niestety, stało się inaczej.

Temu smutnemu objawowi bezprogramowości socyalno-politycznej poświęcimy obszerniejsze uwagi w jednym z następnych numerów.

SPRAWOZDANIA i RECENZYE.

Z dziedziny ekonomii społecznej.

Dr. T. Kalkstein: »O spółkach lokalnych parcelacyjnych«. Poznań 1897.

Eduard von Trzciński: »Die polnischen Landkaufgenossenschaften«. Inowrocław 1897.

H. Sohnrey: »Eine Wanderfahrt durch die deutschen Ansiedelungsgebiete in Posen und Westpreussen«. Berlin 1897.

Shelley rozwija w jednym ze swych sonetów tezę, że tylko zmiana jest objawem stałym w świecie, w którym żyjemy; odpowiada to mniejwięcej rozpowszechnionej teoryi poznania, wedle której pojmujemy tylko przeciwieństwami. Nie da się jednak zaprzeczyć, że (jak mówi Polonius do Hamleta) »jest pewien system w tem szaleństwie«, choć trudno zgadnąć, jaki. Od czasu do czasu udaje nam się odkryć niemal stałe tendencye w rozwoju dziejów, które występują wprawdzie w różnych przejawach zewnętrznych ale mimo tego nie można im odmówić pewnej jednolitości. Odwieczna walka żywiołu słowiańskiego z germańskim, polegająca na wypieraniu Słowian coraz bardziej na Wschód, obecnie objawia się między innymi także wewnętrzną polityką kolonizacyjną państwa pruskiego, wiernego i w tym względzie tradycyom Fryderyka Wielkiego, a ostatnim krokiem na tej od wieków utartej drodze jest przedłożony sejmowi projekt podwojenia 100 milionowego funduszu kolonizacyjnego, uchwalonego na te cele w r. 1886.

Może więc nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę łaskawych Czytelników na nowszą literaturę tego przedmiotu, tembardziej, że hasło kolonizacyi wewnętrznej cieszy się wielką, choć nie powszechną popularnością u nas w kraju.

Zacznijmy od objawów reakcyi, wywołanej w społeczeństwie polskiem przez ustawę z r. 1886. Obszar wielkiej własności ziemskiej znajdującej się w ręku polskim, kurczy się coraz bardziej od początku XIX stulecia, jużto przez niemczenie się właścicieli (Radolińscy) jużteż przez zmianę posiadacza. Celem przyspieszenia tego procesu rozpoczął rząd pruski dwanaście lat temu na podstawie uchwalonej przez sejm pruski ustawy wykupywać znaczne obszary wielkiej własności, parcelować i odprzedawać nabyte grunta Niemcom. Kupowano niemal wyłącznie od Polaków, a sprzedawano wyłącznie Niemcom i to przeważnie ewangelikom. Ogólne położenie ekonomiczne sprzyjało zamiarom rządu pruskiego w wysokim stopniu. Prawo spadkowe, zawierające w sobie poniekąd przymus zadłużenia ojcowizny, jeśli chodziło o uniknięcie podziału, zniżka cen zbożowych, oraz szereg innych nieprzyjaznych okoliczności doprowadziły wielu Polaków, właścicieli ziemskich, do sytuacyi finansowej, popychającej ich w ręce Komisyi kolonizacyjnej. Wobec tego nie mogło być mowy o próbie utrzymania zagrożonej własności ziemskiej w rękach polskich lItylko przez zmianę posiadacza, trzeba było pójść za przykładem rządu pruskiego i korzystając z danego położenia ekonomicznego starać się o osiedlenie na obszarach dawnej wielkiej, polskiej własności ziemskiej chłopa, oczywiście nie pochodzenia germańskiego. Urzeczywistnienie tej idei jest przeważnie osobistą zasługą Dr. Kalksteina, dyrektora Banku ziemskiego w Poznaniu, instytucyi powołanej do udzielania potrzebnego kredytu na cele polskiej kolonizacyi wewnętrznej. Ponieważ jednak stworzenie nowej osady wymaga nietylko pieniędzy, ale także organu naczelnego, któryby zajął się przeprowadzeniem uciążliwych formalności prawnych oraz pokonaniem innych trudności, połączonych z przedsiębiorstwem tego rodzaju, przeto okazała się potrzeba wytworzenia specyalnych instytucyi kolonizacyjnych, które zbrojne w kredyt, udzielony im przez Bank ziemski, zajęłyby się zakupnem gruntu, pozyskaniem i wyborem osadników, postawieniem potrzebnych, nowych budynków gospodarskich i t. d. Zadania tego podjęły się Spółki ziemskie w Poznaniu i Toruniu, zwane centralnymi, gdyż działalnością swą objęły cały obszar kraju, kupując szereg majątków, natomiast lokalne spółki parcelacyjne, złożone przeważnie z przyszłych osadników, ograniczają się do zakupna jednego majątku. Przedstawienie ich dotychczasowej działalności, ich społecznego i narodowego zadania jest celem pracy p. Kalksteina. Autor podnosi prócz względów czysto narodowych potrzebę przeciwdziałania wychodźtwu, które jak wiadomo, jest objawem, występującym w Poznańskiem z wielką siłą. Tworzenie nowych osad daje właśnie sposobność zatrzymania w kraju znacznych stosunkowo mas ludności. Dr Kalkstein szczegółowo wylicza korzyści techniczne, że się tak wyrażę, i ułatwienia, właściwe lokalnej spółce parcelacyjnej, a zapewniające jej wyższość nad innymi formami kolonizacyi wewnętrznej. Wywody swoje objaśnia autor opisem kolonizacyi, przeprowadzonych w Ołoboku, Pinczynie i Małachowie, a kończy radą zakładania dalszych spółek parcelacyjnych i wezwaniem obywateli ziemskich do jaknajliczniejszego wpisywania się w poczet członków centralnych spółek ziemskich, wezwaniem, które z pewnością każdy Polak z czystem sumieniem podpisać może i powinien. Szkoda tylko, że autor w opisie dokonanych parcelacyi pominął obszar nowo utworzonych zagród, szczegół zatem niezbędny dla rozpatrzenia się w dziele kolonizacyi. Brak ten jednak wynagradza nam broszura p. Trzcińskiego.

Jej autor należy do licznego grona polskiej młodzieży szukającej wiedzy na niegościnnych uniwersytetach niemieckich. Celem pozyskania stopnia doktora na wszechnicy Monachijskiej napisał p. Trzciński, uczeń Brentana rozprawę: »Die Entwickelung des polnischen Genossenschaftswesen in Posen und Westpreussen«, której część ogłosił drukiem w roku zeszłym. Od broszury p. Kalksteina różni się praca p. Trzcińskiego szerszym zakresem, gdyż obejmuje także i centralne spółki ziemskie. Autor zwraca przedewszystkiem uwagę na okoliczność, że zastosowanie formy stowarzyszenia do celów kolonizacyjnych jest pomysłem oryginalnym, nieznanym w innych krajach. Należało jednak, zdaje mi się, zaznaczyć, że stowarzyszenia te zbliżają się najbardziej celem swoim do stowarzyszeń kredytowych, wykluczają one bowiem wszelką wspólność gospodarczą, a starają się przedewszystkiem o wyrobienie sobie kredytu na zakupno ziemi, który dla poszczególnych członków byłby niedostępnym. Autor kreśląc ich dzieje zaczyna od spółki Pińczyńskiej, znanej już z opisu, pomieszczonego w dziele Seringa o kolonizacyi wewnętrznej. Pouczającymi są wywody p. Trzcińskiego o szykanach i przeszkodach, które władze, oraz inne publiczne instytucye stawiały rozwojowi spółki w Pinczynie. Później powiał wprawdzie inny wiatr, a ustawy rentowe z r. 1890 i 1891 ułatwiły nawet pracę kolonizacyjną spółek parcelacyjnych, otwierając nowe źródło kredytu w listach rentowych (der Rentenbanken) i upraszczając stosunek do wierzycieli hypotecznych, zmiana ta jednak nie długo trwała. Obecnie jeneralna komisya w Bydgoszczy pozwala korzystać ze swej pomocy tylko wtedy, jeżeli $^1/_3$ część osadników jest Niemcami, i skwapliwie szuka pozorów do usuwania się od polskich przedsiębiorstw kolonizacyjnych. P. Trzciński kończy swą pracę wyrażeniem słusznego życzenia, by, korzystając z gotowej formy, stowarzyszeni przez przeprowadzenie melioracyi na wspólny rachunek, zakładanie spółkowych mleczarń i t. d. starali się rozszerzyć zasadę assocyacyi poza obręb ściśle parcelacyjnych i kolonizacyjnych czynności. Wykaz statystyczny sporządzony przez autora nie daje nam niestety zupełnego obrazu polskiej kolonizacyi wewnętrznej w zaborze pruskim, nie obejmuje bowiem Małachowa, wymienionego w broszurce p. Kalksteina.

Jest szczegółem charakterystycznym, że mimo sprzyjających warunków miejscowych dopiero inicyatywa rządu pruskiego przyczyniła się do wywołania ruchu kolonizacyjnego. Książka p. Sohnreya jest przyczynkiem, cennym materyałem do poznania ustawy z r. 1886 i jej praktycznych wyników. P. Sohnrey jest redaktorem tygodnika »Das Land«, zajmującego się polepszeniem doli ludności wiejskiej i powstrzymaniem jej odpływu do miast, w świecie naukowym znanym jest jego spór z dyrektorem miejskiego biura statystycznego w Lipsku, posłem do Rady państwa Dr. Haase o żywotność ludności miejskiej i wiejskiej. Najnowsza książka naszego autora, nie jest dziełem naukowem, jest to rzecz napisana z wyraźną tendencyą zpopularyzowania idei kolonizacyjnej i pozyskania dla niej nowych adeptów. Opinia publiczna w Niemczech ma pewne wątpliwości co do powodzenia kolonizacyi na wschodnich kresach, chodziło zatem o przeprowadzenie dowodu, że osadnikom dzieje się niezgorzej i że idea germanizacyi robi na nich dobre interesa. Trzeba być bardzo dokładnym znawcą stosunków miejscowych, by móc sobie wyrobić samodzielny sąd o wartości usiłowań i pracy komisyi kolonizacyjnej oraz odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, czy egzystencya ekonomiczna osadników opartą jest na pomocy państwa, czy też na ich własnych siłach, trzeba znać stosunki z własnego doświadczenia, gdyż relacye ustne i pisemne są zazwyczaj z łatwo zrozumiałych powodów stronniczo zabarwione. W książce p. Sohnreya dostrzec można łatwo, jak już wspomniałem, optymistyczną ocenę stosunków. Mimo tego jednak uważny czytelnik potrafi znaleść niejedną uwagę, rzuconą mimochodem, którą trudno pogodzić z jasnem, pogodnem tłem wywodów autora: osada Falkenau, zamieszkała przez dzierżawców, gościła pewnego razu wśród swych progów naczelnego prezesa komisyi kolonizacyjnej, p. Wittenburga, gościowi przedstawiono także j e d y n e g o osadnika, płacącego regularnie czynsz dzierżawny, rozrzewniony prezes, darował mu »wspaniałą krowę rasy Simmenthal« (str. 162).

Probierzem powodzenia i wartości kolonizacyi ma być także wedle autora, skonstatowana wielka płodność osadników. »Ja fürwahr es ist eine grosse herzerfreunde Kinderzucht, die unsere wackern Ansiedler allda im deutschen Namen und zum sicheren

Heite des deutschtums treiben«. P. Sohnrey proponuje nawet, »by uwolnić od obowiązku płacenia renty rodziców ośmiorga dzieci. Cóż jednak na ten wniosek powie prof. Weber, który dowiódł jak na dłoni, że większa płodność Polaków jest niezbitym dowodem niższości cywilizacyjnej? Ale niech p. Sohnrey nie rozpacza, są przecie inni niemieccy uczeni, którzy równie przekonywująco dowiedli wyższości cywilizacyjnej Niemców nad Francuzami, korzystną dla Niemiec różnicą między cyfrą urodzin w obu krajach.

Autor zdaje się hołdować zasadzie »l'appétit vient en mangeant«, dotychczasowe pomyślne wyniki nie wystarczają mu, przedewszystkiem tworzenie posiadłości rentowych w myśl ustaw z r. 1890 i 1891 przez jeneralne komisye wywołuje jego oburzenie, ponieważ część nowopowstałych osad dostała się w polskie ręce. P. Sohnrey domaga się tedy zniesienia tej sprzeczności, zwiększenia funduszu kolonizacyjnego i zmiany dawnych polskich nazw miejscowych na niemieckie, wmawia przytem w czytelnika, a może i w siebie, że w ten sposób przyczynia się do ucywilizowania wschodnich kresów państwa pruskiego. Maks Nordau mawiał o walce narodowościowej, że ten ma słuszność, kto zwycięży, p. Sohnrey zaś każe nam odgadywać, w czem właściwie tkwi wyższość cywilizacyjna niemiecka. Chyba nie w zbliżeniu się do coraźto doskonalszych ideałów etycznych. Walka żywiołu słowiańskiego z germańskim trwa nie od dziś, formy jej nie są tak gwałtowne, jak dawniej, ale tendencye nie zmieniły się. Przeciwnicy optymistycznych przewidzeń XVIII-go w., przepowiadających nieskończony postęp ludzkości, mogą powołać się z uczuciem słusznego zadowolenia wewnętrznego na powolność rządu pruskiego wobec życzenia p. Sohnreya et cons. *Adam Krzyżanowski.*

Dr. Joh. Matern: »Um Miliarden!« Das internationale Währungs- und Geldsystem der Zukunft. Lipsk 1896, str. XIII, 397.

Wśród licznych dzieł i pism z dziedziny polityki monetarnej, które się w ostatnich czasach pojawiły, zasługuje na wyróżnienie praca Materna p. t.: »O miliardy!« Wprawdzie pod względem treści należy ona do rzędu znanych prac reformatorsko-utopijnych, różni się jednak od nich i to na korzyść tem, że nie powstała z pobudek agitatorskich, lecz jest owocem studyów poważnych, krytycznych, opartych na naukowej podstawie. O treści dałoby się z jednej strony bardzo wiele, z drugiej znów bardzo mało powiedzieć. Chodzi tu o kwestye zasadnicze, których wprowadzenie w życie ma znaczenie drugorzędne. Obszerna zatem ocena dzieła obejmującego około 400 stronnic na razie nie jest konieczną. Poprzestajemy na naszkicowaniu myśli przewodnich, by potem nawiązać do tego parę ogólnych uwag.

Do zaciętej walki monetarnej, jaką przy użyciu ostrej broni prowadzą monometaliści z bimetalistami, przyłącza się teraz Matern nie będąc przytem zwolennikiem ani jednego, ani drugiego kierunku. Zwalcza bimetalizm, gani walutę złotą i chce w miejsce dzisiejszego systemu monetarnego wprowadzić całkiem nowy. W budowie swego systemu skłania się on, co prawda, na stronę waluty złotej, uważając złoto za jedynie nadające się na miernik wartości i na kruszec walutowy, równocześnie jednak pozbawia je charakteru środka zapłaty.

Motywem, który skłonił Materna do napisania powyższej pracy, są niskie ceny towarów i wywołane przez to trudne położenie rolnictwa. Jedynym celem jego projektów reform jest podobnie jak u bimetalistów coute que coute zwyżka cen. Różni się jednak od bimetalistów tem, że gdy oni spodziewają się, iż wraz z pomnożeniem materyału pieniężnego nastąpi potanienie pieniądza. Matern dąży do zredukowania wartości kruszcu przez bezwarunkowy i powszechny zakaz wolnego bicia monety. Waluta złota, zdaniem Materna, sama przez się w istocie nie wywołała bynajmniej krytycznego położenia w gospodarstwie. Polityka monetarna popełniła jednak w całym świecie dwa kardynalne błędy, którym też należy przypisać wszelkie smutne następstwa, jakie ludzkość znosić musi. Tymi zasadniczymi błędami są:

1) wolność bicia monety na rachunek osób prywatnych;

2) używanie kruszcu monetarnego (złota) za środek wypłaty.

Gdy się usunie te dwa błędy, wówczas pójdą w górę ceny wszelkich towarów i wytworów, a powszechna nędza zamieni się w powszechny dobrobyt.

Wolność bicia monety jest przywilejem, za którym w ślad idą dwa szkodliwe następstwa: zbyt wysoka wartość pieniądza i nieograniczone mnożenie się pieniądza metalowego. Dopuszczenie wolnego bicia monety we wszystkich państwach z walutą złotą wynikło wedle Materna z mylnego pojmowania wartości pieniądza. Wartość pieniądza jest odbiciem wartości towarów w ogóle i wraz z tą ostatnią wzrasta lub spada nie ulegając żadnym zmianom sama przez się, przeciwnie zmienia się proporcyonalnie (str. 11). Gdy wartość tak towarów jak i pieniądza przesuwa się w tym samym kierunku, natenczas przesunięcie to znosi się nawzajem. Gdy jednak po stronie pieniądza istnieje *sztuczna* przeszkoda zmiany wartości, wtedy wybitnie występuje na jaw wzrost wartości złota wskutek spadku cen towarów. Przez wolność bicia monety, która złotu zapewnia zbyt, nie potrafiła pojawić się tendencya ku zniżce wartości złota, któraby mogła zrównoważyć skutek spadania cen towarów, objawiający się w zwyżce wartości złota. *Nie* dlatego spadły ceny, że złoto poszło w górę, przeciwnie, przyczynę spadku cen należy przypisać samym towarom: spadły, bo wartość złota nie mogła równocześnie spaść wobec wolności bicia monety. Złoto powinno zawsze dzielić tendencyę cen towarów i tylko pod tym warunkiem może być mowa o jego stałej wartości. Przy tendencyi ku powszechnej zmianie wartości towarów wymaga interes rzeczywistej stałości wartości złota, by i na złoto oddziaływała odpowiednia zmiana czynników wartości. Taka jednak zmiana wykluczoną jest wobec wolności bicia monety na rachunek osób prywatnych. Gdyby ze złota nie wolno było bić monety, musiałoby ono spadać w miarę jakby spadały inne towary, a stosunek wartości tych ostatnich równoważyłby się z wartością pieniądza. Wolność bicia monety podtrzymuje cenę złota. Niezależnie od czynników towarzyszących tworzeniu się cen towarów, zawisła cena złota od całkiem innych czynników. Wartość złota powinna się — podobnie jak wartość każdego towaru — rozwijać na podstawie warunków produkcyi; powinna tu decydować wartość użytkowa złota stosownie do jego przeznaczenia przemysłowego, niezawisłą być od jego charakteru jako metalu pieniężnego. Dosyć trwałem jest zapotrzebowanie szlachetnych kruszców do celów przemysłowych; jeśliby produkcya miała się stosować tylko do tej potrzeby, rozwijałaby się równym krokiem. Wartość złota rozwijałaby się bardziej niezawiśle i bez przemijających fluktuacyj w popycie, jakie obecnie stwarza przywilej wolnej mennicy. W tym celu trzeba bezwarunkowo położyć koniec dalszemu mnożeniu się pieniędzy przez wybijanie kruszcu monetarnego. Możliwie największa stałość miernika wartości da się osiągnąć, skoro o wartości kruszcu monetarnego będzie decydowało jedynie jego użycie w przemyśle, bez wpływu zaś pozostanie jego charakter jako metalu pieniężnego. Dlatego przy racyonalnym systemie walutowym nie wolno używać kruszcu monetarnego jako głównego środka zapłaty (str. 168).

W miejsce pieniądza kruszcowego, który w ogóle nie może w grę wchodzić jako środek zapłaty, należy puścić w obieg noty bankowe, mające pokrycie w listach zastawnych, *opiewające na złoto i w każdej chwili płatne w złocie.* Noty te będą się nazywały notami w listach zastawnych, a system monetarny systemem monetarnym not na listach zastawnych. W obrocie międzynarodowym zostaje złoto nadal środkiem zapłaty, lecz nie w postaci bitej monety, lecz jako pewna jednostka wagi (10 gramów). Zastąpienie pieniądza kruszcowego fundowanemi notami i zniesienie wolnego bicia monety muszą zresztą wedle Materna prędzej czy później wprowadzić wszystkie państwa w świecie, gdyż już teraz istnieje *nadmiar złotej monety.*

Przy dalszem trwaniu przymusowego odbytu nastąpiłoby

przesycenie krajów pieniądzem kruszcowym. Takie używanie złota całemi masami do celów monetarnych jest niepotrzebnym zbytkiem; system not opartych na listach zastawnych odpowiada postulatom ekonomii, gdyż oszczędzi ludzkości miliardy. Zniesienie wolnego bicia monety, które wartość złota uczyni w zupełności niezawisłą od popytu na złoto do celów monetarnych, umożliwi dopiero wolne, naturalne uformowanie się wartości złota, które także na przyszłość ma pozostać kruszcem monetarnym jako miernik wartości. Waluta złota Materna, »która przywróci napowrót swobodę odbytu złota« zwie się »walutą złotą bez przymusu«.

Jako skutek proponowanych reform nastąpi redukcya wartości złota w tym stopniu, w jakim dotychczas wstrzymywaną była przez przymusowy odbyt, nastąpi w tensam sposób, w jaki nastąpił spadek cen innych wytworów.

Jak u srebra nastąpił wielki spadek cen, którego następstwem jest dotąd redukcya zapasów pieniędzy srebrnych, dosięgająca połowy dawnej wartości, taki u złota wywoła podobny skutek zniesienie wolności bicia monety; równocześnie nastąpi zniżka wartości pieniądza, która przez tyle lat była niemożliwą, a wkrótce odbije się to na ogólnej zwyżce cen wytworów i towarów.

Z tego krótkiego i oddającego tylko główne myśli przedstawienia systemu monetarnego Materna widać jasno, że autor wszystkie te zasady, które dotąd uważano za rozumiejące się same przez się kardynalne podstawy racyonalnego systemu monetarnego, określa jako brzemienne w skutki błędy zasadnicze. O słuszności swego projektu jest autor tak mocno przekonany, że ani myśli o niewykonalności swych planów reformy. My jesteśmy odmiennego zdania i sądzimy, że o wprowadzeniu »waluty złotej bez przymusu« i systemu not opartych na listach zastawnych nikt nie może seryo myśleć.

Autor z mylnego wychodzi założenia, skoro spadek cen wszelkich towarów bez bliższego uzasadnienia przyjmuje jako fakt istniejący, gdy tymczasem występując z tak radykalnym systemem powinien był samodzielnie wykazać spadek cen. Podniesienie cen jest istotnym punktem pracy Materna; przytem jednak przeoczył autor, że chce uchylić zło, którego główna przyczyna nie leży w systemie monetarnym.

Skoro stosunek wartości pieniądza do reszty dóbr uległ zmianie, jeszcze zawsze zostaje nierozstrzygniętem pytanie, czy przyczyny tej zmiany należy szukać po stronie pieniądza, czy też reszty dóbr. Bimetaliści, którzy dążą do podniesienia cen zapomocą reform monetarnych, twierdzą niedwuznacznie i otwarcie, że przyczyna spadku cen leży po stronie pieniądza t. j. złota. Matern powiada jednak wyraźnie, że »złoto ze swej strony nie podniosło się w cenie« (str. 12), wszak przyznaje otwarcie (na str. 108), źe tylko stosunek wartości towarów uległ dotkliwej zmianie, że jednak wartość złota ze swej strony została niezmieniona. Jeśli więc przyczyny spadku cen leżą po stronie towarów a nie po stronie pieniądza, to godzi się zapytać, jak może Matern szukać rady na to zło w reformie systemu monetarnego? Przyznając wyraźnie, że wartość złota się nie zmieniła, mimo woli uznał Matern istniejącą walutę złotą za najlepszą ze wszystkich, boć przecie leży w naturze dobrego pieniądza, by posiadał ile możności stałą wartość. Jeśliby tak było, natenczas odpada potrzeba jakiejkolwiek reformy. Dlatego nie w tem leży zasługa Materna, że zbudował swój system, lecz w tem, że ochronił istniejącą walutę złotą od ataków bimetalistów.

Na tej jednej uwadze możnaby właściwie poprzestać, bo całe dzieło oparte jest na wyżej zaznaczonej błędnej podstawie. Dla dopełnienia jednak całości dodamy jeszcze słów parę.

Matern pragnie być pierwszym, który pojęcie wartości pieniądza należycie ujął. Tymczasem nie podaje żadnej definicyi wartości pieniądza, która przecie nie jest niczem innem, jak tylko siłą nabywczą pieniądza w stosunku do reszty dóbr. Co się tyczy tak silnie przez Materna zaczepionego przywileju wolnego bicia monety, wystarczy tylko przypomnieć, iż jest faktem uznanym powszechnie i potwierdzonym przez doświadczenie, że tylko wtenczas da się uzyskać pieniądz pełnowartościowy i tylko wtedy da się powiązać wartość targowa szlachetnego kruszcu z jego wartością monetarną, jeśli istnieje wolność przeistoczenia każdej ilości kruszcu walutowego w monetę. Tylko w takim systemie przedstawia wolno bita moneta rzeczywistą t. j. ani większą ani mniejszą wartość, jak wartość zawartej w niej ilości kruszcu.

Tylko wolne bicie monety umożliwia mnożenie się zasobów pieniężnych w miarę rzeczywistych potrzeb obrotu. Matern twierdząc, że przy wolnem biciu zasoby pieniądza dadzą się w nieskończoność powiększać i że zniżka wartości pieniądza jest niemożliwą, popełnia błąd.

Skoro bowiem istnieje nadmiar bitego pieniądza, spadnie z pewnością jego wartość pomimo a nawet dzięki wolności bicia monety. Historya srebra uczy, że srebro mimo wolności bicia zeń monety z powodu ogromnej ilości kruszcu coraz bardziej na wartości traciło, tak że musiano wartość pieniądza srebrnego odłączyć od wartości kruszcu dopiero przez zamknięcie mennic dla srebra.

Łatwo sobie jednak wytłómaczyć, dlaczego Matern chce znieść wolność bicia monety, skoro w miejsce pieniądza kruszcowego chce zaprowadzić pieniądz papierowy.

Ten pieniądz papierowy, któremu chce nadać pozory banknotu, jest w gruncie rzeczy najzwyczajniejszym niewymiennym papierowym pieniądzem. Za pokrycie ma mu służyć zarazem złoto, weksle i listy zastawne; bądź co bądź główny środek obiegowy mają u Materna stanowić noty zabezpieczone na ziemi, podczas gdy noty mające pokrycie w złocie względnie wekslach mają być emittowane tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Myśl fundowania not na nieruchomościach nie jest nowa; smutne doświadczenia, jakie w tym kierunku poczyniono, są powszechnie znane, nie odstraszają jednak bynajmniej autora od upierania się przy swym projekcie, przyczem uważa on swój pomysł za całkiem oryginalny a swój pieniądz papierowy za całkiem nowy wynalazek. W rzeczywistości jednak pieniądz ten polegający na notach mających pokrycie w listach zastawnych nie różni się niczem od podobnych papierów hipotecznie zabezpieczonych. Oryginalność tkwi jedynie w tem, że noty Materna opiewają na złoto i płatne mają być alternatywnie albo w złocie albo w listach zastawnych. Jak ta wymiana na złoto może na każdy wypadek być możliwą, tego Matern nie wykazał, czemu się jednak o tyle nie można dziwić, ile że wedle zdania autora wymiana na złoto jest bezprzedmiotową, gdyż publiczność niewątpliwie będzie wolała wymieniać na listy zastawne, niż na złoto. W oczach publiczności — powiada Matern na str. 17 — budzą listy zastawne na nieruchomościach o wiele większe zaufanie, gdyż wartość rzeczywista, którą reprezentują, nie jest narażoną na zniszczenie.

Nie możemy zgodzić się na zapatrywanie Materna, jakkolwiek nie chcemy przeczyć, że wartość nieruchoma nie ulega zniszczeniu; zbywa jednak nieruchomościom na głównym przymiocie, na którym przy notach przedewszystkiem zależy, tj. by je można łatwo i natychmiast zrealizować. Podobnie jak z łatwością wymiany, ma się rzecz z wartością not Materna. W projekcie swym nie postarał się on bynajmniej o organiczną i bankową elastyczność obiegu. Autor jest otwartym zwolennikiem inflacyi, powiada wyraźnie (str. 198), że nieograniczona emissya not sama przez się nie przedstawia niebezpieczeństwa; nie sądzi, by nieskończone gromadzenie się not miało je pozbawiać wartości. Przeciwnie mniema, że obfity obieg pieniędzy jest tylko korzystny i pożyteczny. Wszystkie te zapatrywania są łatwo zrozumiałe dla czytelnika jego książki, bo autor także pojęcie kapitału, ceny, wartości i t. d. opiera na całkiem nowych zasadach. Przeoczył jednak, że w tym kierunku staje w sprzeczności z kardynalnymi podstawami ekonomii. Charakterystyczne światło na monetarne teorye Materna rzuca jego polemika z prof. Mengerem odnosząca się do przyczyn zbyt wysokiej wartości austryackiej waluty papierowej. Gdy Menger przypisuje ten objaw ścisłemu skontyngentowaniu środków obiegowych, sądzi przeciwnie Matern, że to byłoby musiało nastąpić także mimo

wszelkiego pomnożenia obiegu pieniędzy papierowych, choćby ten ostatni nawet odpowiadał każdoczesnej potrzebie.

Na zakończenie niech będzie wolno przytoczyć z książki Materna kilka uwag, które najlepiej charakteryzują jego zapatrywania. Na str. 181 zachwala Matern czasy austryackiej waluty papierowej i utrzymuje, że w owym czasie wahania waluty były »tylko nieznaczne«; natomiast zdobywa austryacka waluta złota po dokonaniu reformy bardzo zły kurs (str. 267).

Autorowi widocznie nie jest wiadomem, że wahania waluty bywały przedtem w obrębie małych odstępów czasu ogromnie znaczne i że waluta od kwietnia 1896 r. prawie regularnie notuje niżej pari. Matern miesza pojęcie bilansu płatniczego i zna tylko bilans handlowy; i tak mówi na str. 263, że w Austryi można już było dawno podjąć wypłaty gotówką, ponieważ zamknięcie bilansu było od wielu lat czynne. Widocznie ma tu na myśli tylko bilans handlowy.

Dodać jednak musimy, że autorowi nie brak należytego zrozumienia, że takie państwo, jak Austrya, na własną rękę nie mogłoby nigdy porywać się na radykalną zmianę systemu monetarnego. Zwraca się też przedewszystkiem pod adresem państwa niemieckiego; nasza obawa o autora płonna.

Omówione dzieło zyskuje na znaczeniu o tyle, że w nim niezadowolenie z nieracyonalnego stanu międzynarodowych stosunków monetarnych znalazło wyraz nader interesujący.

Dr M. Szarski.

L. Domański. »La liberté l'egalité, la fraternité«. Paris. Guillaumin et Cie 1897.

Autor rozbiera w swej broszurze, która jest odbitką z paryskiego miesięcznika »Journal des Économistes« nie po raz pierwszy głośne hasła rewolucyi francuskiej. Za wzorem Tocqueville'a i wielu innych stwierdza sprzeczność między postulatem równości i wolności. Matematyczna sfera myślenia potrzebuje pojęcia równości, ale myśl ta przeniesiona w obręb społeczeństwa może tylko ujemne wywołać skutki, gdyż, jak codzienne doświadczenie stwierdza, nierówność jest naturalnym, wrodzonym warunkiem rozwoju społecznego. Jako dowód przytacza p. Domański walkę o byt.

Hasło braterstwa, daje również powód do krytyki autorowi, który przeczy teoryi o wzmaganiu się uczuć altruistycznych równolegle z rozwojem cywilizacyi. Jedno hasło wolności znajduje w nim obrońcę. Autor uważa zbliżenie się do ideału bezwzględnej wolności za pożądaną drogę postępu socyalnego, ale rozumie, że pewne, możliwie najmniejsze ograniczenia swobody jednostki są niezbędną częścią składową życia społecznego. Zachodzi tylko trudne do rozstrzygnięcia pytanie, kto właściwie ma decydować o pociągnięciu granicy między uprawnionemi jednostki a społeczeństwem. P. Domański wraca do Platońskiej idei powierzenia rządów w państwie, — rządu bowiem zadaniem jest właśnie ciągłe ustanawianie i pilnowanie tej linii demarkacyjnej — uczonym.

Broszura nie przynosi nam wiele nowego. Wina leży zdaje mi się w zbyt ogólnikowem postawieniu kwestyi. Rozprawiać o teoryi równości lub wolności in abstracto jest rzeczą bardzo trudną: nie ulega wątpliwości, że rozwój cywilizacyjny nie polega wyłącznie na różniczkowaniu, jak tego chce Spencer. Są obok tych i inne prądy, wywołujące widoczne objawy równości. Tylko bardziej szczegółowe uchwycenie procesów tego rodzaju może umożliwić nam dyskusyę o zasadzie równości. Również zasada wolności w oderwaniu od konkretnych warunków miejsca i czasu staje się trudnym do określenia czynnikiem. —

P. Domański jest stałym korespondentem »Journal des Économistes« i autorem szeregu artykułów treści teoretyczno-ekonomicznej, ogłaszanych w warszawskiem Ateneum. *A. K.*

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Dr. Antoni Górski, Prof. U. J.
W Krakowie. 1898. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego.